

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 28. X. 62 r.

Nr 43 (243)

Cena 1 zł

Felieton Sceptyka

LISTY „na MILICJĘ”

Obywatele dzielą się na tych, którzy z milicją mieli, mają lub będą mieć do czynienia, i na tych, których kontakt z mundurowym funkcjonariuszem władzy sprowadza się do baczności na jego sygnały w ruchu ulicznym. Których jest więcej — wiadomo.

Ci pierwsi z kolei dzielą się na tych, którzy „bliższą okoliczność” z milicją traktują jako naturalną konsekwencję swoich czynów, i tych, którzy konsekwentnie i przy tej okazji „podskakują”. Ci ostatni, oczywiście, stanowią znikomą mniejszość. Ich ulubionym zajęciem, między innymi, jest pisanie listów. Głównie oni też są nadawcami korespondencji, adresowanej do Komendy MO, w tzw. trybie skarg i zażaleń.

Ogółem w pierwszej połowie bieżącego roku w dziennikach podawczych zakonotowano 240 tego rodzaju listów, czyli o 5 mniej niż w analogicznym okresie roku ubiegłego. Jest to ilość mikroskopijna w porównaniu z sumą milicyjnych czynności i interwencji w mieście Łodzi, ale zawsze jest i warto jej się bliżej przyjrzeć.

Wszystkie skargi na MO są drobiazgowo sprawdzane. W wyniku tego zaledwie 20 procent znajduje potwierdzenie. To znaczy, że co piąta skarga jest całkowicie lub tylko częściowo zasadna. Nawet jeśli jest tylko częściowo zasadna, to znaczy, gdy racja była bardziej po stronie milicjanta niż skarżącego obywatela — władza wлады zalicza ją w swojej statystyce do „zasadnych” i wyciąga stosowne wnioski służbowe. Podkreślam to jako dodatkowy punkt na korzyść władzy, mimo że ryzykuję jakąś aktywnizację korespondentów holdujących zasadzie „ja go nauczę...”

Jednakże tę pozytywną średnią zasadność skarg robią sprawy, w których milicjant niejako z góry jest „w porządku”. Chodzi o takie sytuacje, w które nie chce i zgodnie ze swoją pragmatyką nie powinien się mieszać, a więc wszelkiego rodzaju awantury sąsiedzkie i rodzinne. W sprawach tych, rzecz milicjanta jest co najwyżej doraźnie przywrócić zakłócony spokój, a nie wdawać się w dochodzenie winy którejkolwiek ze stron, ani tym bardziej zajmować się kierowaniem sprawy do sądu, jako że to dziedzina nie urzędowego, lecz prywatnego oskarżenia. Wystarczy jednak, że milicjant odmówi pozaprzaskowych czynności lub z większą uwagą wysłucha mniej krzyczącej strony, a ta druga bardziej

rozwrzeszczana w myśl zasady „kto nie ze mną ten przeciwko mnie” wali nań tęgi donos. Toteż skarg tej kategorii jest najwięcej, bo 41,2 proc., ale też tu najbardziej słuszność bywa po stronie ich autorów. (14,3 proc. skarg zasadnych).

W ogóle skargami na milicję zdaje się rządzić następujące prawo: im mniej ich w poszczególnych kategoriach zarzucanych uchybień,

Dalszy ciąg na str. 7

ZBIGNIEW

WOJCIECHOWSKI

TERPSYCHORA i ROBOTNICY

JUBILEUSZOWE
CYTATY *

ROK 1947.

POWSTANIE ZESPÓŁU.

„Slogan „Tutaj się najlepiej odpoczywa po pracy i najprzyjemniej spędza czas” nie jest tak zwanym „czystym hasłem”. Jeśli chodzi o świetlicę przy PZPB nr 8. W lokalu świetlicy rozbrzmiewa wesoła muzyka, a przy jej dźwiękach sekcja baletowa popisuje się efektownymi ewolucjami tańiecznymi...”

ROK 1952. PIĘCIOLECIE.

„Zespół ten, w skład którego wchodzi przodowniczy pracy i racjonalizatorzy, tacy jak Alicja Lubin, do niedawna tkaczka, a obecnie instruktor szkolenia metodą Kowalewa, tkaczka Kalużna, szwaczka Celina Woźniak, przedzalnicy racjonalizatorzy Nawrocki i Sowa dał w okresie swojej 5-letniej pracy ponad tysiąc występów...”

„Niektórzy z jego członków osiągnęli wymagane normy na SPO, a wszyscy postanowili zdobyć odznakę...”

ROK 1957.

DZIESIECIOLECIE.

„Urodził się w 1947 roku. Rzecznik niesposykana. Już w pierwszych miesiącach życia, zamiast jak przystało na inne noworodki raczkować, stanął pewnie na nogi i zaczął ku uciesze mieszkańców Łodzi wywijać ogniste polki, kujawiaki i mazury. Ale, że temperament miał niespożyty i ambicje tak, że, zaczął wyjeżdżać na występy do innych miast, a nawet za granicę!!!”

* (Cyfaty zaczerpnięte z łódzkich dzienników).

Dalszy ciąg
na str. 6



Łódź
w jakiej
życimy

Feliks Babol

ARTERIOSKLEROZA

Nie ma złej drogi do mej niebogi”. Przysłowie to wymyślili chyba średnio-wieczni rajcy miejscy, aby usprawiedliwić w oczach mieszczan swą nieporadność i powolność w budowie ulic. A że zły przykład utrwała się gruntownie — niż do-bry, więc i dziś jeszcze to przysłowie jest jak najbardziej aktualne: w Mikołajewie, w Budach Kałowskich, na Żabieńcu, Rogach, Moskułach, Sikawie, Henrykowie, Kowalszczyźnie, Zarzewie, Dąbrowie... i w kilku-nastu innych naturalnych dzielnicach Wielkiej Łodzi brniesz do swej niebogi przez piachy i wądoły, giesienne grząskie błota i wio-senne roztopy. Jedyną bowiem nawierzchnią na 521 kilometrach ulic 700-tysięcznego miasta, w którym rozpoczęto stosować maszyny analogowe i matematyczne jest przecież w dalszym ciągu „święta ziemia”. A 521 km oznacza niemal połowę długości wszystkich ulic (mamy ich 1077 km) może więc stanowić punkt wyjścia do wielu paradoksalnych zestawień.

Bo przecież jeśli ulice stanowią o charakterze miasta, jeśli ułatwiają człowiekowi życie i poruszanie

się, korzystanie ze zdobyczy kultury i cywilizacji, to nie jest pozabawione sensu twierdzenie, że Łódź jest w tej chwili jeszcze miastem za-ledwie 250-tysięcznym. Tytuł bowiem ludzi mieszka w tej części obszaru Wielkiej Łodzi, która posiadając kostkę czy asfalt ma prawo nazywać się miastem nowoczesnym. Jest więc Wielka Łódź pod względem arterii miejskich godnych współczesnego człowieka właściwie Bydgoszczą, bo nawet nie Szczeci-nem czy Gdańskiem.

Oto więc jeszcze jeden skutek dawnego prymatu produkcji nad interesem człowieka, bo w tej Łodzi od zarania jej żywiołowego wzrostu najpierw przybywały b. retna i fabryki, a po-tem dopiero — już trze-ba było coś i dla ludzi...

wstawali na Chojnach bara-ki dla eksmitowanych. Pry-mat produkcji widzimy wszę-dzie, że wspomnimy choćby budowę przejazdów kolejo-wych przecinających ulice i paraliżujących ruch pieszy i kołowy, choćby masowe par-celacje ter. pod byle-jaką zabudowę w robotniczych dzielnicach miasta w sytu-acji, gdy tereny te nie po-siadały ani wody, ani nawet krawężników ulicznych. O-trzymaliśmy więc dziedzi-

ctwo okresu burzliwego wzrostu fortun fabrykan-ckich: straszliwe zatłoczenie poszczególnych dzielnic, ja-ko wynik stale rosnącej pro-dukcji włókienniczej, niesty-chane ubóstwo cywilizacyjne wielkich połaci miasta.

Łódź wchłonęła olbrzymie obszary niedawnych jeszcze gmin wiejskich sta-jąc się Wielką Łodzią, set-ki tysięcy ludzi czyniąc o-bywatelami miasta, ale nie da-jąc im nie poza prymity-wem cywilizacji wsi i gro-mady. Stąd jeszcze dziś owe 521 kilometrów piasku, bło-ta i rozpadlin.

Ale cóż! Wartki nurt ko-nieczności powojennych spra-wił, że główne wysiłki na-wet w naszych warunkach nie mogły skupić się na u-lepszeniu i unowocześnieniu dróg „do niebogi”. I dziś jeszcze taki Poznań wyda-je na drogi z roku na rok około 100 mln. zł, a my tyl-ko 60, choć Poznań jest miastem dwa razy mniej-szym...

Gdy patrzysz na liczby, ogarnia cię zwątpienie. Bo jeśli na drogi rok rocznie wydajemy tyl-ko 60 mln. zł, a z tego, na nowe, szlachetne nawierz-chnie idzie jedynie około po-łowy (28 mln. zł), jeśli 1

kilometr nowoczesnej ulicy (kostka, asfalt) kosztuje w zależności od podłoża od 1 do 3 mln. zł, to pytam się ciebie, sąsiedzie z jednej z kilkuset ulic gruntowych, kiedy zdołamy w Łodzi u-sunąć zaległości? Jeśli bę-dziemy budować w dotych-czasowym tempie, n. wy-każemy się i za 50 lat. Chyba, że zwiększymy tem-po, — le w pierw. zebra na-pelnie kasę ojeżdż miasta. Są więc takie drogi do po-prawienia stanu dróg: — albo walczyć zajądło, a skutecznie w Radzie Mini-strów o podwojenie fundu-szów na łódzkie ulice, — albo wszcząć potężną ak-cję społeczną na rzecz dro-gowego budownictwa (nauczeni doświadczeniem wiel-kiego zapalu łodziń w ak-cji „By Łódź nam pięknia-la” sądźmy, że obywatele zapaliliby się i do dróg w Łodzi).

Bądźmy jednak realista-mi — innej drogi niż pierw-sza w zasadzie nie ma na razie, a i społeczny fundusz drogowy, znany sprzed woj-ny, niewiele by pomógł, bo

Dalszy ciąg
na str. 4

MŁODZIEŻ

z krainy

KOŁOWROTKA

Znacie ich. Są to młodzi ludzie, którzy codziennie mijają fabryczne bramy, stoją przy krosnach łódzkich fabryk. To właśnie oni stali się przedmiotem badania. Młodzi ludzie z ZPB im. Dzierżyńskiego, Zakładów Harnama, Marchlewskiego, 1 Maja, ZPW im. Gwardii Ludowej, Andrzeja Struga i Barlickiego. Są tacy sami, jak wy. Są częścią was. Dlatego interesujemy się tym, jakie są ich pragnienia, czego się uczą, w jaki sposób spędzają swój wolny czas.

TRADYCJA CZY ZAMIŁOWANIE

Spróbujmy najpierw wziąć pod mikroskop młodzież uczącą się do przyzakładowych szkół włókienniczych. Przecież to właśnie oni mają być następcami i kontynuatorami wielkopremysłowej tradycji Łodzi. A więc — jak się uczą młodzi ludzie z „krajiny kołowrotka”?

Wśród młodych włókienników uczących się w roku 1961 do przyzakładowych szkół ponad 60 proc. stanowili dziewczęta. Młodzież — uczniowie tych fabrycznych szkółek — uatrakcyjnia swoją przyszłość przede wszystkim w zawodzie przedzakładowym, wykonawczym i kontynuatornym. Ta kolejność nie jest bynajmniej przypadkowa. Grały tu rolę różne czynniki, z których najbardziej miejsce zajmuje możliwość znalezienia pracy, a nawet takie sprawy, jak obecność czynionej pracy w dziedzinie unowocześnienia parku maszynowego łódzkich fabryk. Ba, nawet moda ma tutaj swoje znaczenie. I tak niektórzy spośród młodych ludzi twierdzą, że zawód dziewiarza wybrał dlatego, iż przed tym rodzajem „tkania” włókienniczych rysuje się piękna przyszłość i właśnie z dzianin będziemy szyć ubrania, sukienki.

Można zaryzykować powiedzenie, że szkoła przyzakładowa dla sporej liczby łódzkich młodzieży jest podstawowym źródłem wiedzy. Przede

wszystkim dla tej grupy młodych ludzi, którzy znajdują się w stosunkowo trudnych warunkach ekonomicznych bądź też rodzinnych. Blisko 1/3 uczniów tych szkół to sieroty bądź półsieroty. Powołanie jest narzekaniem na warunki mieszkaniowe. I tak około 25 proc. ogółu badanych stwierdza, że zajmuje wraz z liczną rodziną jedną izbę. W tej dziedzinie rysują się już pewne zmiany, dające się zauważyć procentowym „wskaźnikiem”: 46 proc. uczniów łódzkich szkół przyzakładowych podaje, że zajmuje wraz z rodziną mieszkanie 2-izbowe, a 17 proc. pomieszczenia 3-pokojowe.

Warto się zastanowić nad powodami tego, że spora liczba młodych ludzi wybiera właśnie tego rodzaju szkoły, chce zdobyć zawód włókiennika.

Wyniki badań świadczą, że niestety szkoły przyzakładowe kształcące włókienników nie stanowią jeszcze do tej pory instrumentu nauczania fachu ludzi, którzy go rzeczywiście chcą zdobyć. Dużą rolę odgrywa tutaj przypadek, ważą okoliczności rodzinne, trudna sytuacja ekonomiczna lub też namowa kolegów. Ten wniosek wyciągamy z bardzo ciekawych liczb mówiących między innymi o tym, że spośród dziewcząt — uczennic włókienniczych szkół fabrycznych około 59 proc. starało się wcześniej o przyjęcie do innych typów uczelni. Na pierwszym miejscu dziewczęta wymieniali szkoły podległe Ministerstwu Oświaty, a więc typu ogólnokształcącego, względnie też o kierunku pedagogicznym.

Na ten stan rzeczy i niedobra opinia przyzakładowych szkół nawet wśród młodzieży uczącej się do nich składają się bardzo różne czynniki, ale warto tutaj wspomnieć o jednym istotnym, a mianowicie o warunkach, w jakich działają te placówki. Niestety, niemal wszystkie szkoły przyzakładowe nie posiadają żadnych pracowników pomocniczych, na ogół brakuje im nawet prymitywnych pomocy naukowych, a

klasy, w których uczy się młodzież są źle urządzone, nie odpowiadają podstawowym warunkom higienicznym, co zostawia ślad na zdrowiu młodzieży.

Wydać się również, że te warunki mają także wpływ na wyniki nauczania. W roku szkolnym 1960/61 w szkole przyzakładowej ZPB im. Feliksa Dzierżyńskiego w Łodzi uczniowie bez ocen niedostatecznych było około 45 proc. z jedną oceną niedostateczną — 18,2 proc., z dwiema „dwojkami” — 20,4 proc., z trzema — 13,4 proc., a z czterema i więcej aż 23,2 proc. ogółu uczących się. Charakterystyczny jest tutaj „podział” ocen niedostatecznych na poszczególne przedmioty wykładane w szkołach przyzakładowych. Otóż — najwięcej „dwojki” — odnotowano z matematyki, a następnie z fizyki, chemii, matematyki oraz język polski.

Młodzież zdaje sobie sprawę z trudnych warunków szkół, do których uczęszcza. Wszyscy niemal uczniowie w trakcie przeprowadzonego badania stwierdzali, że chcieliby polepszyć wyposażenie pracowni szkolnych, a przede wszystkim zwracali uwagę na konieczność lepszej opieki ze strony kierownictwa zakładów, które wzięły na siebie obowiązek prowadzenia szkoły włókienniczej. Z tą pomocą jest jednak bardzo różnie i bywa, że ogranicza się ona jedynie do przekazania szkole jakiegoś — często najgorszego i zływającego zakładu — pomieszczenia. Problemem jest także kadra wykładowców, bowiem część nauczycieli wykładających poszczególne przedmioty w szkołach przyzakładowych niewiele ma wspólnego z pedagogiczną wiedzą, są to często fachowcy — inżynierowie i technicy, traktujący swoją „funkcję” nauczyciela w zakładowej szkole jako okazję do „dorobienia”.

SPECYFIKA I OPTYZM

Młodzież łódzkich szkół przyzakładowych na pewno stano-

wi jakąś bardzo specyficzną grupą i dodajmy — grupą nęszczającą sporych kłopotów socjologowi i pedagogowi. Tak na przykład jeszcze do roku 1962 w placówkach tego typu działających w łódzkich fabrykach nie powstały żadne formy samorządowej działalności uczniów, w szkolach tych nie ma zespołów zainteresowań, drużyn sportowych, a na palcach jednej ręki można by wylizować spotkania względnie też imprezy oraz kontakty typu kulturalno-oświatowego. Ze spot socjologów przeprowadzających te badania nie dostrzegł również prawie żadnej więzi koleżeńkiej pomiędzy uczniami, nie ma tego charakterystycznego dla „normalnych” szkół objawu więzi pomiędzy uczniami jednej klasy, jakiegoś zespołowego działania uczniów przebywających ze sobą razem co najmniej kilka godzin dziennie. Warto tutaj wspomnieć, że młodzi ludzie nie czują żadnej więzi z zakładem, który prowadzi i opiekuje się ich szkołą. Być może jest to wynik właśnie... braku tak potrzebnej opieki!

Z drugiej strony opinia, że jest to młodzież zła, nie rożniąc nadziej na przyszłość byłaby zbyt pochopna.

Niemal wszyscy badani, młodzi ludzie stwierdzają, że chcieliby się uczyć dalej, przy czym snując te swoje plany łączą je ze zmianami zachodzącymi w naszym życiu społecznym i gospodarczym. Tak na przykład poważny rozwój przemysłu metalurgicznego oraz ciężkiego w Łodzi wywołał określony skutek w poglądach młodzieży na przyszłość. Spośród 85 proc. młodych ludzi — uczniów szkół przyzakładowych, którzy wyrazili chęć kontynuowania nauki, około 40 proc. traktuje obecnie szkołę jako pewnego rodzaju odskocznię wiodącą nie do zawodu... włókiennika, lecz do „normalnego” technikum zwykłego elektrotechnicznego, chemicznego czy też metalowego. Te zawody najbardziej popularne są wśród chłopców. Jednak również dziewczęta widzą swoją przyszłość nie tylko w „krajnie kołowrotka”, lecz wybierają się do szkół pielęgniarstwa, pielęgniarstwa, chętniej kształcą się w zawodzie laborantki, ekspedientki, a nawet... fryzjerki.

KINO, KAWIARNIA, KOSMOS

Przyjrzyjmy się jeszcze innym stronom życia młodzieży z „krajiny kołowrotka” i odpowiedzmy sobie na pytanie, w jaki sposób najchętniej spędzają swój wolny czas adepci włókienniczego fachu?

34,5 proc. podaje, że zajmują się przede wszystkim czytaniem książek, ale to „wymuszenie” wypadło potraktować z dużą dozą ostrożności, gdyż inne „kontrolne” badania dowiodły, że znajomość literatury wśród tych młodych ludzi ogranicza się zwykle do krymi-

nalnych „bestsellerów”, albo też do bardzo pobieżnej znajomości niektórych dzieł Sienkiewicza, Prusa czy Orzeszkowej — zwykle tych, które zalecała tzw. obowiązkowa szkolna lektura. Również i takie dziedziny jak teatr, koncert są w życiu tych młodych ludzi zupełnie marginesem i spora gromadka nie może się nawet wylegitymować jedną w ciągu roku „wizytą” w sali teatralnej. Znaczna część nie potrafi wymienić nawet przybliżonych adresów łódzkich muzeów, a niektórzy za salę koncertową uważają halę łódzkiego Palacu Sportowego. Chyba z racji występowania w niej zespołu „Czerwono-Czarnych” czy też Marino-Marinię. Za rozrywek nr 1 uznają kino oraz imprezy sportowe. Są wśród nich tacy, którzy chodzą do kina i sześć razy w tygodniu!

Ciekawe, że uczniowie włókienniczy zdają sobie sprawę z nieracjonalnego gospodarowania swoim wolnym czasem i najchętniej zmieniliby swój tryb życia.

Jakie mają w tym względzie marzenia i propozycje?

Przede wszystkim detronizują kino. Przesuwa się ono na drugie miejsce w tabeli specjalnie uprzywilejowanych rozrywek, a rolę „leadera” zajmują wycieczki oraz innego rodzaju imprezy turystyczno-sportowe. Znaczący awans przewidują także ci młodzi ludzie, którzy uczą się i ta pozycja powinna ich zdaniem zajmować trzecie miejsce w czasie wolnym od pracy. A potem idzie czas przeznaczony na sen, oglądanie telewizji. Zaden z nich nie wspomina słuchania radia. Bardzo wyraźnie rysuje się w badanej grupie tendencja do ograniczenia w przyszłości — w okresie podjęcia pracy zawodowej — czytania książek. Jedną z osób powołada szczerze: „Jeżeli czytamy, to przede wszystkim książki lekkie, przygodowe, wprowadzające mnie w świat nieznaną”. Chyba to jest tendencja ogólna, bowiem pracownicy łódzkich bibliotek potwierdzają, że zdaniem czytelników, które najczęściej są wypożyczane przez młodych włókienników są „bestsellery” kryminalne, powieści sensacyjne, wydawnictwa dotyczące wydarzeń ostatniej wojny.

Potwierdza się również opinia, że wśród tej młodzieży niewielką rolę odgrywa wędrowająca się ze wspólnej la wy szkolnej czy też fabrycznej, warsztatu. Tak na przykład młodzi ludzie, którzy podają, że spędzają swój wolny czas na wycieczkach czy też wyprawach poza miasto twierdzą, że udają się tam z kolegami mieszkającymi w pobliżu ich domu. A więc nadal wędrować. Odgrywa ona dużą rolę nawet przy tego typu rozrywkach, jak zabawa czy jakaś impreza taneczna. Najchętniej wybierają się na nie małymi grupkami organi-

zującymi się znów na „mieszkanie” „my spod siemennastego”, „my od Zyrdera”.

Ale co to wszystko ma wspólnego z kosmosem?

Tego pytania nie obejmowały ankiety rozdane wśród uczniów łódzkich szkół przyzakładowych. Uwagi na ten temat dopisywali sami. Po prostu ta sprawa ich widać nie pasjonuje. Pytania są również proste, co typowe dla współczesności: kto będzie pierwszy na Księżycu, na jakiej zasadzie działają kosmiczne rakiety, jakim paliwem są one napędzane, co znajduje człowiek w kosmosie?

Kreśląc ten obraz łódzkiej młodzieży — uczniów włókienniczych szkół fabrycznych nie można tego akcentu pominąć. Chodzą do kina, lubią spędzać wolny czas przy szklance czarnej kawy, zbierają dwójki, chcą się uczyć, wiedzieć wszystko o podboju kosmosu. Czy są więc „inni”, „specjalni” czy raczej — TYPOWI?



Już 15 lat tańczy świąteczny zespół im. Szymona Harnama. Artysty mają za sobą dziesiątki występów na granicznych i setki spektakli w kraju. Dziś balet im. Harnama liczy sobie 230 osób. A zaczęło się w 1947 roku od zaledwie 60 entuzjastów...

Na wielkim koncercie estradowym w Pałacu Sportowym konferansjer zaprowadził „Skowronka”. Anouilha powiedział: „Joanna D'Arc leżcie do Nowego Orleanu”. Jeśli to miało być dowcip, to raczej z tych kłopotliwych.

Niedawno w gmachu Prezydium PRN w Brzezinach otwarto bardzo ciekawą wystawę pod nazwą „Sztuka ludowa powiatu brzezińskiego”. Mamy nadzieję, że wszyscy chętni mieszkańcy Brzezin odwiedzą tę ekspozycję. Warto przecież znać sztukę ludową swego regionu.

Dr Stefan Rosiak z Wołkowskiego Archiwum w Łodzi obchodził niedawno czterdziestolecie swej pracy zawodowej. W związku z tym jubileuszem dr Rosiak odznaczony został przez Radę Państwa Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Już niedługo robotnicy Zakładów im. Zubrzyckiego i Łukasńskiego otrzymają nowy, piękny, nowoczesny klub kultury. Dawna świetlica Zakładów im. Łukasńskiego poddana została remontowi i gdzieś w końcu października otworzy swe podwoje dla wszystkich chętnych.

J. W.

ROZMOWA

ODGŁOSÓW Z:

prof. dr. inż. WITOLDEM

KOREWA

kier. Katedry Części Maszyn Wydziału Mechanicznego Politechniki Łódzkiej laureatem nagrody naukowej m. Łodzi

MECHANICE I POSTĘPIE TECHNICZNYM SITUACJI MŁODEJ KADRY NAUKOWEJ EGZAMINACH WSTĘPNYCH NA WYŻSZE UCZELNIE TECHNICZNE PRZYSZŁOŚCI MECHANIKI

— Co charakteryzuje kierowaną przez pana profesora katedrę?

str. 2 **odgłosu**

— Jest to największa katedra wydziału i jedna z największych w uczelni. W skład jej wchodzi trzy zakłady: części maszyn, teorii mechanizmu oraz geometrii wykreślnej i rysunku technicznego. Jej problematyka naukowa, to szerokie zagadnienia z dziedziny konstrukcji, a więc: badanie lo-

żytek ślizgowych, sprzęgieł podanych, hydrodynamiczna teoria smarowania, konsultacje przy opracowywaniu różnych rodzajów projektów (np. w tym roku przy projekcie turbiny gazowej), wykonywanie prac dla potrzeb górnictwa, eksperytyz, itp.

— A praca dydaktyczna?

— Kształcimy studentów w zakresie podstaw konstrukcji maszyn. Nasi absolwenci to inżynierowie, konstruktorzy i technolodzy maszyn o pełnym wyszkoleniu konstrukcyjnym.

— Czym jest dzisiaj konstrukcja?

— Zagadnieniem o wiele szerszym niż dawniej. 80 lat temu na moim wydziale nauczano o maszynie parowej przez dwa lata, a dziś temu zagadnieniu poświęcamy zaledwie parę godzin. Programy studiów zmierzają w kierunku kurczenia się przedmiotów specjalizacyjnych na korzyść przedmiotów ogólnokształcących jak np. automatyka, elektronika... Student Wydziału Mechanicznego musi znać i rozumieć całą problematykę dotyczącą konstrukcji.

— Czy młodzież garnie się do mechaniki?

— Studia na tym wydziale należą do najtrudniejszych, a mimo to mamy zawsze pełny komplet studentów. Mechanika bowiem — przyciąga młodzież, zwłaszcza tę o pewnych uzdolnieniach technicznych.

— Czy uzdolnienia techniczne gwarantują młodym czło-wiekowi sukcesy w przyszłości przy opracowywaniu konstruktorów?

— Wymagamy od studentów uzdolnień oraz opanowania przedmiotów teoretycznych. Trudno jednak, przy tak burzliwym postępie techniki, wy-głaszać jakieś recepty na powodzenie w zawodzie konstruktora. Dziś, żeby się wyróżnić trzeba być wybitnym czło-wiekiem. Proszę pamiętać: ma-szyna, każdy najdrobniejszy jej element, produkuje się dziś w milionach sztuk, całym ser-riami w wielkich zakładach przemysłowych. To wymaga doskonałej, idealnie precyzyj-nej konstrukcji, przemysłowa każdego szczegółu. Tylko ten kto posiada umiejętność logi-cznego rozumowania, kto ma w sobie pasję odkrywcy, me-że wyrosnąć z tłum.

— Czy jesteście uzdolnieni technicznie?

— Jesteśmy przede wszyst-kiem w szczególnej sytuacji. W jednym pokoleniu robimy ol-brzymi skok. Nasi studenci w większości nie wynieśli z włas-nych środowisk nawyków do pracy umysłowej i tu w uc-zelni muszą zdobywać tę zdol-ność. A wymagania, jak wspominałem przedtem, są du-że.

— Czy egzaminy wstępne dokonują właściwej selekcji wśród kandydatów na wyższe uczelnie, zwłaszcza na uczel-nie techniczne?

— To jest zło konieczne. Gdybyśmy mogli oprzeć się na opiniach szkół egzaminu by-łyby niepotrzebne. Ze wzglę-du jednak na różnorodność po-ziom szkół średnich jest to nie do przyjęcia.

— I jeszcze jedna sprawa. Dużo się teraz dyskutuje na temat młodych kadr nauko-wych, pozycji i perspektyw asystentów i w ogóle młodych pracowników nauki. Jak pan profesor ocenia ten problem na tle swojej katedry i swo-jej pracy w tej katedrze? Czy praca w przemyśle nie sta-nowi zbyt wielkiej przynęty dla najzdolniejszego elementu spośród pańskich wychowan-ków?

Sytuacja w naszym wydzia-le jest szczególnie trudna. Od asystentów żądamy, aby byli wybitnymi fachowcami a nad-to i naukowcami, aby zajmo-wali się nie tylko konstruk-cją, ale i prowadzili prace naukowo-badawcze, wymaga-jąc gruntownej znajomości li-teratury światowej w danych przedmiotach. Tymczasem wa-runki materialne w uczelni są skromniejsze niż w przemy-sle. I dlatego wiele katedr technicznych znalazło się w tej chwili w trudnościach. Przemyśl ze swoimi olbrzymi-mi możliwościami stał się zbyt wielką przynętą dla mło-dych i zdolnych inżynierów i w tych warunkach zaledwie część najzdolniejszej młodzie-ży wybiera drogę naukową.

— Reasumując: jakie perse-

kiwy rysują się przed me-chaniką? Czy postęp technicz-ny, wyzwalający wciąż nowe dziedziny wiedzy technicznej i nowe gałęzie produkcji, nie oznacza coraz mniejszej przy-datności tej mechaniki a co w tym się wiąże i mniejszej a-trakcyjności zawodu inżyniera-mechanika?

— Mechaników będzie wiecej nie brak. Włosi obliczyli, że właśnie w związku z postę-pem technicznym na 3 robotni-ków musi być 1 inżynier, i to głównie inżynier mechanik. Wszystkie bowiem techniczne funkcje wiąże się z maszynami. W przemyśle chemicznym np. pracuje około 70 proc. in-żynierów mechaników (w sto-sunku do ogólnej ilości per-sonelu technicznego z wy-ższym wykształceniem), podob-nie i w innych przemysłach. Zawód inżyniera mechanika jest najbardziej wszechstron-nym zawodem, daje możliwość przerzucania się na różne spe-cjalizacje i różne technologie.

Niegdyś wykształcenie kon-strukcyjne było dźwignią świa-ta, i cały postęp techniczny to w dużej mierze wynik myśli twórczej konstruktorów. Dziś co prawda zeszliśmy nieco do funkcji pomocniczych, nie-mniej wyszkolenie konstruk-cyjne przostaje nadal podsta-wą jako to, które rozwija twórczy instynkt, daje podsta-wy i możliwości do dalszego rozwoju techniki.

Rozm.: K. WYRZYKOWSKA

LEKCJA ANGIELSKIEGO

„This is a garden with a basin, too...”

Moja partnerka od stołu, pani Lucja, przebrała się dzisiaj pięć razy; na śniadanie zjawiała się w szarym kostiumie, na pływalię szła — rzecz jasna — w plażówce, podczas lunchu miała koronkową bluzkę, po południu na pokładzie — spodnie i grubą welnianą golf z kapturem; teraz na kolację przysłała w cociłowej sukni; jedwabnej, półdługiej; do kolacji w ogóle wszyscy ubierają się w miarę swoich możliwości jak najlepiej; ona zresztą idzie potem na dancing. Na „dinner” podano dziś znowu coś przewrotnie smacznego, pięknie przyrządzonego, czego nazwa brzmi egzotycznie; ktoś zapytał, co to znaczy? Powiedziałam: serca przepiórek, nadziewane, słowiczymi językami, owijane w płatk storczyków, podane w sosie Ipahagu, czyli soku owocu z wyspy Wana-Wana, powstałym ze skrzyżowania pomarańczy, banana i pigwy...”

I wybuchła bombka. Kanadyjczyk kończąc posiłek mówi:

— Tak, tutaj propagandowe luksusy, a w Polsce nie macie ani jednego porządnego lokalu, wszędzie brud, polamane noże i widelce, a naród żeby zjeść, już nie żeby ubrać się (wymowne spojrzenie na suknię pani Lucji), musi kraść...”

Rozmowa nagle urywa się, wzięcie śmiech w gardle, jedynie także. Wszyscy trochę patrzymy na siebie krótko, ścięci milczeniem, a potem czerwieniejemy i opuszczamy oczy na talerze. Podnoszą wzrok tylko gnądne Frau, farmerka z Michigan i pyta: „What's the matter?” O co chodzi? Nie wie, nie rozumiem po polsku. Nie odpowiadamy, wtedy ona wyjmuję... fotografie swojego domu, auta (sześć tysięcy dolarów) z przyczepką pod łódź motorową...

Proszę wczuć się w nasze położenie; jak byście zareagowali?

Teraz wiemy dlaczego Kanadyjczyk jada na ponotu, patrzył „spodełba”. No, co byście zrobili? Rzucili ostentacyjnie serwetę, obrazili się i odeszli od stołu? Poproszili o przeniesienie do innego stołu, może do tego, gdzie z kolei siedzą „One”, te kobiety z hallu? Pominęlibyście to milczeniem i nie odzywali się więcej do człowieka, który przychodzi do was z nieproszoną „prawdą” (prawdomówny, co?) i spotykali się z nim cztery razy dziennie przy posiłkach w lodowatym milczeniu? A może byście dali mu w szczękę — mówiąc popularnie? Albo powiedzieli, że to nieprawda, nikt nie kradnie. Czy może zaczęlibyście zreć, sprytnie, a kołowato: „Panie, jaka to propaganda na tym statku, przecież pan płacisz dziennie przeszło 25 dolarów, za te pieniądze...” A może zrobić z tego problem światowy, ogólnoludzki: gdzie nie kradną, a we Włoszech, Francji, a napaści na banki w Chicago, kradzieże gwałty i morderstwa w Stanach, przecież sam prezydent w orędziu o tym mówi... A może zrobilibyście pyskówkę międzynarodową...?

A on swoje powiedział i... czekał. Powiedział wcale nie z pogardą, jak owe kobiety mówiły w hallu, ale z bólem, z „patriotycznym” wzbudzeniem. Wziął dosłownie jakiś taki ogólnik: „wszyst-

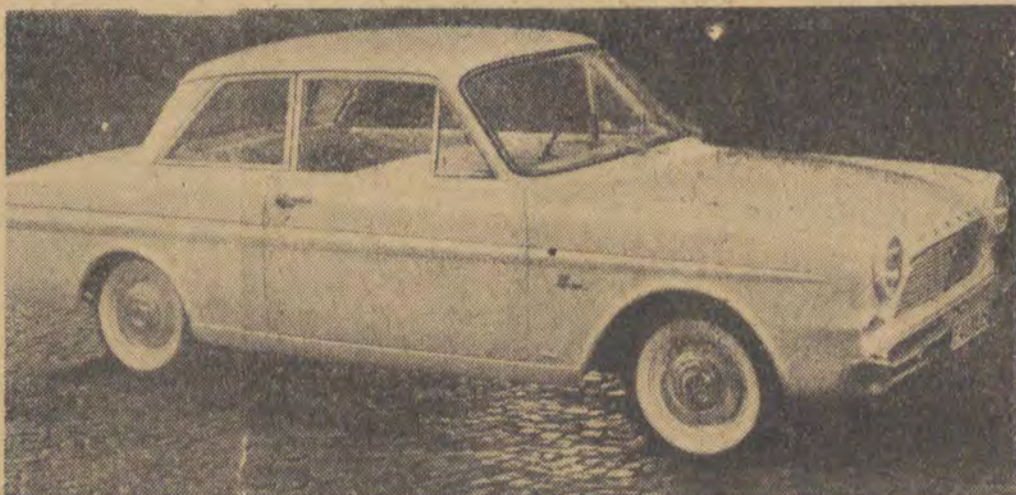
cy kradną”, albo naprawdę tak mu zgeneralizowano sytuację w Polsce; był przekonany, że kto chce jako tako zjeść i ubrać się, musi kraść. Stąd to wymowne spojrzenie na suknię Lucji.

Sielanka na „Batorym”, nie ma co, prawda? I te późniejsze „sielankowe” rozmowy o tym — bo ten człowiek jednak chciał rozmawiać, słuchać, chodził za nami, chciał się czegoś dowiedzieć o kraju od innych ludzi niż ci, w których ramiona wpadł w małej pro-

platne, niskie komorne... „No to jaki procent kradnie, mnie mówili że 95 procent...” — powtarza jego słowa Lucja. Powiedziała mu, że będąc kiedyś za granicą czytała w „Chicago Daily News”, że w Ameryce np w sklepach też kradną i klienci i personel, personel więcej jednak, tylko że to „wszystko” jest ukalkulowane w cenie towaru. „Jaki procent ludzi kradnie tam, jak pan myśli?” — zapytała. Przesłał mówić na ten temat. Pytaliśmy Kanadyjczyka

się nie znał, znaleźliśmy się pośród ośmiuset pasażerów i trzymamy się razem. Co nas złączyło? Wyjechaliśmy z kraju, każdy z jakimś swoim mniej lub więcej krytycznym spojrzeniem na nasze sprawy, nasze bolączki, nie jesteśmy ślepi na zło, wielu z nas ma pretensje, niektórzy nawet głębokie urazy do własnego kraju, a tu...

— Stajemy się nagle obrońcami, agitatorami wręcz — przerywa inżynier, jadący montować jakąś fabrykę na Kubie...



wincjonalnej osadzie fabrycznej, dokąd przyjechał aby ożenić się... z Polką. Polki są pracowite, mówił.

Siódmy dzień podróży. Popołudnie, pokład spacerowy. Agent z Detroit i pewna śliczna mieszczaneczka z Toronto grają w shuffleboard (popularna amerykańska gra sportowa, polegająca na popychaniu płaskich kralców za pomocą czegoś w rodzaju wiosła tak, aby trafić w pole przeciwnika); ktoś gra w ping ponga, ktoś kryje się w osłonie nadbudówki i próbuje leżakować opatulony w grube koce. Jakiego emigranta wracającego z Lubelszczyzny, od rodziny, z nowo odbudowanej wsi, „agituje” nas opowiadaniem o Polsce. Mówi: „W dziewięćdziesięciu procentach chłop polski ma się lepiej, niż w tych czasach, które ja pamiętam”.

Lucja opowiada nam o swojej rozmowie z Kanadyjczykiem. Z początku nie mógł zrozumieć jak ludzie w Polsce mogą żyć, zara-



biając kilkadziesiąt złotych miesięcznie; jak jego znajomi, czy krewniacy. Musiała mu jak dziecku tłumaczyć, że w niektórych rodzinach pracuje kilka osób, że żony dorabiają dorywczymi pracami, że zarobki kształtują się w granicach od kilkuset złotych do kilku tysięcy. Że ludzie mają po dwa etaty, że biorą ponadto prace zlecane. Że nasze, owszem, trudne życie ułatwia jednak licznie two bezpłatne, szkoły bez-

— a propos tych „lokali z polanymi widelcami i nożami” — gdzie był w Polsce. Był w Poznaniu w konsularce i Warszawie, dokąd jeździł w sprawach paszportowych do ambasady. A czy był przy okazji w „Bazarze” poznańskim, lub choćby w „Smakoszu”? No to może w warszawskim „Bristolu”, „Krokodylu”, „Kamerallnej” — bo mówi, że kazał się prowadzić do „najlepszych lokali” — może w jakimś cukierni na Nowym Mieście, Starym Mieście, na MDM? Nie. Sam wreszcie spytał nas z rozdrażnieniem: „No to gdzie one mnie prowadziły?”. Wyjaśniliśmy mu, że pewnie ośmieszali go dąłami dla siebie. A zresztą — może się same lepiej czuły w małych, tanich lokalikach.

Kanadyjczyk jest zły. Nie widział Krakowa, Wawelu, warszawskiej Starówki, MDM, Mariensztatu, Żoliborza, Bielana — z Dworca Zachodniego taksówką na Pragę do konsulatu kanadyjskiego, nocleg w „prywatnym hotelu” jakiejś kobiety, która mu się zaofiarowała z gościnną w pociągu. „Był człowiek w Polsce — mówi — wydał tyle na podróż i nie nie widział”.

Dziwiliśmy się. Znowu wszyscy spotykamy się nieumawiani wcale na pokładzie, od strony zawietrznej. Właściwie nie spotykamy się, w pewnej chwili orientujemy się, że jesteśmy razem: Lucja, Dziewczę Polskie, Mała Doktorowa, inżynier jadący na Kubę, sędzia z Rzeszowa, te dwie kobiety: studentka z Wrocławia i jej stara matka jadące na zawieszę do Seattle... Inżynier kończy relacjonować jakąś rozmowę ze swoimi partnerkami z kabiny. Chwila milczenia. Wreszcie sędzia: — Nie wiem, jak to się dzieje, nikt z nas przedtem

— Maluczko — dodaje sędzia — a ja... ja zostanę komunistą! „Ony” mnie nim zrobia.

Przechodzi amerykańska dziennikarka. Swoją cudzoziemską, szczerbiotliwą polszczyzną zapytuje:

— Czy to posiadzenie Rada Najwyższa Batory-pas-singers?

Mówimy jej po trosze o naszych rozmowach. Śmieje się: każdy widzi to, co chce widzieć. „Ony” (te kobiety z hallu) też się przed nią oburzały na rewizję celną, na żądanie papierów, dokumentów. Powiedziała im, że lecąc samolotem z Londynu do Paryża musiała na kolanie cały życiorys napisać. Zamilkły. Ale czy uwierzyły?

Ktoś zadaje niedorzeczne pytanie, takie samo oni będą nam zadawać tam: „Jak się pani podoba Polska?”. Mówi wymijająco, rozumiem jak trudno odpowiedzieć jednym zdaniem: będzie pisać. Prawda.

— Pani też będzie pisała o Ameryce — zwraca się do mnie. — Co?

— Prawda — odpowiadam.

Pytam: — A będzie mogła pani pisać całą prawdę o nas?

Odpowiada:

— And you? — i dodaje:

— Prawda. Z każdego punktu widzenia jedna prawda wygląda inaczej. Ale... Ja pani coś powiem — u nas, w Ameryce, niektórzy mówią o uniwersytecie chicagowskim, który ma największą liczbę zapisów miliardów a profesorowie najwyższe uposażenia: „To ciekawe, oni tam najlepiej zarabiają, a najwięcej między nimi komunistów...”

A inni powiadają, że „Ci profesorowie to liberalni intelektualści...”

Dziś przy obiedzie zapytałam Kanadyjczyka, zupełnie

w dobrej myśli, bez żadnej uszczypliwości, czego się do-róbił po siedemnastu latach w Kanadzie. Co ma? Niechcący trafiał w bolesne miejsce. Milczał przez chwilę, wreszcie powiedział:

— Nie nie mam.

— Jak to?

— Inni to i mają. Ja nie.

Był drajwerem (kierowcą) na dalekobieżnych truckach (ciężarówkach), miał wypadek. Polamało mu nogi. Leżał dwanaście miesięcy w szpitalach, ośmiem w domu. Operacje, tam-nie ponowne, składanie kości, wysięki. Szpitale, lekarze, pielęgniarki, lekarstwa. Rekonwalescencja. Pozszył oszczędności siedemnastu lat. Teraz będzie zaczynał od początku. Z żoną Polką. Polki są pracowite.

Quebeck. Stoiśmy na re-dzie. Upał nie do wytrzymania. Oparci o poręcz na rufie statku, widzimy na brzegu jalozy, kamienisty, ogródek, liche, sklecone z surowych desek domek. Przed nim fantastycznie długie auto. Jakiś człowiek w robotniczym kombinzonie wychodzi z domu, wysypuje się za nim gromadka dzieci.

— To dziwne — mówi Lucja — taka rudera i takie wspaniałe auto. Ciekawe, czy to szofer, czy właściciel auta?

— Ono jest jego właścicielem — odzywa się nagle Kanadyjczyk.

Nie zauważyliśmy nawet, że stanął obok nas, on nas jednak stale szuka teraz, puścił w nim jakieś zapory, zezłała ponurość. Mówi teraz z gorczy: „ale w stosunku do tego kraju widzianego z pokładu statku...”

— Ja wam powiem — to auto kosztuje pięć tysięcy dolarów, jego nie stać na to auto, widziecie ten domek, tę kupę dzieci, a tę jego kobietę? Ale on wziął na spłat to auto, bo ono go skusiło i teraz będzie jego niewolnikiem. On mógł kupić tańsze, ale uległ pokusie. Bo w ogóle auto musi mieć — żeby jeździć do pracy, nie wszędzie chodzą autobusy i koleje; tam gdzie mało pasażerów, kasuje się linie — a jak człowiek ma pięćdziesiąt mil do pracy — tu są przestrzenie, nie jak u was — to co, pieszo ma chodzić, albo bez roboty siedzieć, albo coraz to przenosić się? Tutaj, w Kanadzie zarabia się o wiele mniej jak w Stanach. Ale pana grać łatwo. Wszystko dać na raty. Auto na raty, dom na raty, meble na raty, ubranie na raty. Żywność w sklepie na czek...”

Przed nami Montreal. Wczoraj był Farewell Dinner czyli wieczór kapitański. Na kolację podano:

Homar a la Normande
Krem pomidorowy
Consommé z pasztecikiem
Jesiór wolżański poché
Dane Suzette
Ziemniaki z wody z kopr-em
Kurczę faszerowane po polsku

szparagi z masłem
grosek po francusku
kukurydza gotowana
kalafior au gratin
ziemniaki słomka
Filet Mignon
Karotka Vichy serca kar-czochoń
ziemniaki parisiennie
Sałata Miami
Kompot francuski
Bomba Alsacienne
Kosz owoców różnych

Bomby alzackie — góry lodów z bakalią wnoszą kelnerzy przy zgaszonych światłach w wysokich płonących kryształowych pucharach. Wykonują marsz-taniec wśród stolików z tymi pochodniami — oklaski dla szefa kuchni!

A potem szaleństwo i baczanie: wczorowe toalety, dwie orkiestry, dancing w klasie pierwszej, w klasie turystycznej, w cociłbarze. Na naszej sali siedzą w fotelach pod ścianami „one”. Nie nie zamawiają. Patrz. Na parkiecie tańczą sambe, twista, folkstroty — Amerykanie. Duńczycy, my Polacy — młodzi i starzy. One,

te kobiety siedzą i — mają zgorzone miny. „Dlaczego?” pytam. Potem się dowiem. Potem, gdy zagrają oberka, kujawiaka, polkę. Wtedy ruszają one ze swoimi towarzyszami. Ustawiają się — rączka w boczek, pupy wypięte. — One nam pokażą, co się Polakowi tańczyć go-dzi. Nie dzikie murzyńskie tańce, ale polskie, narodo-we. One nie zapomniły kim są, to myśmy zatracili w sobie poczucie wszystkiego co było kiedyś Polską prawdziwą. Obereczek dziś-dziś-dziś! Kółeczko, Ladies and Gentlemen polka go round! Hu, ha!

Dziś ładowanie. Agent wyjmuję fotografię żony, dziecka, domu i auta. Czuje przypływ małżeńskiej miłości. Do końca nie wyjaśnia się czy jest tylko sprzedawcą czy współwłaścicielem spółki budowlanej. Oni też tworzą mity. Jedni i drudzy zresztą: nasi im o straconych za Bugiem majątkościami (Jean), o tym, że wszystko poszło z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej, że nie mają pracy, o biedzie, a tamci — o drapaczach chmur, domach, kontach bankowych, ogrodach z fontannami i wodotryskami. Nasi przeliczają zarobki tamtych na złotówki, z czterystu dolarów wychodzi im 28.000 złotych, i dalej kupować w wyobraźni wory cukru, tonny masła, polcie słoniny. I daj mi to i jeszcze to, i tamto... a przybysze, bogaci „wujkowie i ciotki z Ameryki” zaczynają syczeć, syczą jeszcze do obcych na statku: „Oni myślą, że u nas wszystko za darmo, a u nas halka — pięć dolarów, gor-sze niż u was buty dwanaście dolarów, rent (komorne) albo spłata domu 150 dolarów, jedzenie 200 dolarów! — mówi farmerka z Kanady. — A oni daj i daj!”

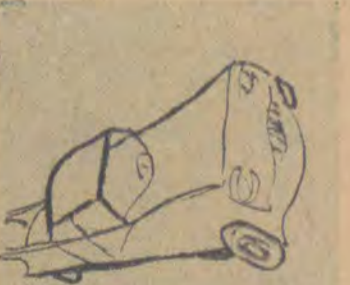
— Mity i legendy — mówi Olivier — one fałszują obraz Polski i obraz Ameryki. I uproszczenia. Gdzie jest prawda?

Ano prawdy będziemy szukali na własną rękę. Nie tracąc świadomości, że odnajdzie się jej także tylko cząstka w ograniczonym i tak polu widzenia.

Na „moich” — którzy mają po mnie przyjechać do Montrealu dopiero jutro — mam zaczekać u ich znajomych w tym mieście. Świętynie, zobaczę Montreal. Wypławię się w basenie kąpielowym u nich w ogrodzie. Bo na moje pytanie — odparli: „tak mamy ogród z basenem”.

W domu chwytam kostium kąpielowy i biegnę się wykapać; z upału się topię.

— Hier is our bathroom. Ale ja: do basenu, pływac,



pluskać się. I otóż — gdzie ten basen? Co to? Kwadratowy wycementowany dół, pół metra głębokości, półtora na dwa powierzchni; na dnie trochę liści, ogrzyków marchwi i królik z położonymi ze strachu uszami.

Basen... — myślę szybko — „basin” przypominam sobie angielskie słowo, ach racja, oni mówią basin na umywalkę w łazience także, więc i to — z tym królikiem i żabą to też jest basenem. „This is a garden with a basin — too...” — powtarzam lekcję angielskiego.

Dalszy ciąg
ze str. 1

ROK 1982, PIĘTNASTOLECIE

Wycinki z prasy są nie tylko historią zespołu. W stylu pisanym, w treści okolicznościowych artykułów i notatek od bija się również historia naszego czasu. Jakże różnią się notatki z 1982 i 57 roku. Jak będą wyglądały te z 1982, gdy spojrzysz się na nie z perspektywy następnego pięćdziesiątka?

Pierwszy takt z piątej pozycji z demiplię prawa noga — dwa ronds de jambe en l'air saute, wykonują w obrocie en dehors na pół tour, zatrzymanie palcami do widza — na pierwszej ćwiartce. Zakończenie assemble, prawa noga w przód — druga ćwiartka. Drugi takt — to samo powtórzyć z obrotem na pół tour en dehors, kończąc twarzą do widza.

Profesor Hryniewiecki pada je komendy w nieznanym języku baletmistrzów i choreografów. Tłumaczy dokładnie każde ćwiczenie. Najpierw taneczom, potem akompaniatorowi. Dziewczeta i chłopcy ubrani w czarne trykoty stoją przy drążkach. Czekają na pierwsze akordy fortepianu rozpoczynające ćwiczenia. Tak to wygląda z perspektywy nielubianej szwedzkiej ławki ustawionej pod ścianą, z której widać z kilkoma niećwiczącymi tancerzami oglądami próbę.

Battements developpes tombe... ille... raz... dwa... trzy... entery...

Wygląda to tak jakby tancerze starali się przerzucić na nie przez jakiś przedmiot. Na raz noga podniesiona do góry, na dwa — skrzyżnięta w bok na trzy... stop! Profesor Hryniewiecki przerywa ćwiczenie. Ktoś się pomylił. Jeszcze raz. Proszę bardzo... Panie Bogusławie (pan Bogusław Kotowski jest akompaniátorem) zaczyna my... ille... raz... dwa... trzy... staranniej proszę. Próby odbywają się różnie. W świetlicy, w Operze lub w szkołach. W świetlicy zakładów Wojska Wprawdzie jest duża sala ale pośrodku niej stoją trzy potężne, betonowe słupy. Przy każdym z nich stoi tancerze są narażeni na to, że mogą wpaść na któryś ze słupów i dołkliwie się potłuc. Nawet zdarzyło się, że na próbę zespołu wzywano karetkę pogotowia. Zespół Harnama nie ma własnej sali do prób. Musi się wypożyczać. Opera Łódzka żąda za wypożyczenie sali znacznej sumy pieniędzy, tak znacznej, że zespół nie może sobie na taki luksus pozwolić. Pozostają więc szkoły, które wprawdzie chętnie idą na rękę zespołowi, ale szkolne sale gimnastyczne z wyfrotowanymi słiskim parkietem nie nadają się do prób tanecznych. Ciągłe upadki powodują kontuzje. Na ostatnim koncercie jeden z tancerzy występował z naderwanym ścięgnem.

Aby mógł występować, leka-

TERPSYCHORA i ROBOTNICY

rze zastosowali blokadę. Jeden z członków zespołu wywinął sobie tak fatalnie nogę, że konieczna była pomoc lekarza. Zawieziono chłopaka na pogotowie. Tam lekarz spytał o przyczynę wypadku. Zwichnięcie było niespotykane. Chłopak powiedział, że stało się to na ulicy. Chwila nieuwagi, nieostrożny krok i upadek. Chłopak nie chciał przyznać się, że wypadek zdarzył się na próbie. Bał się, że zespół może mieć z tego powodu nieprzyjemności. Lekarz nie uwiarył. Przypadek był zbyt groźny. Chłopak podał wreszcie lekarzowi prawdziwą przyczynę zwichnięcia, ale dopiero wtedy gdy ten dał mu słowo, że nie zapisze tego w protokole.

Pozycja przygotowawcza. Ręce opuszczamy w dół. Dłonie skierowane do wewnątrz jednej blisko drugiej, łokcie z lekka zaokrąglone tak żeby ręce nie dotykały tułowia i nie przylegały pod pachy.

Wieksość członków zespołu to pracownicy zakładów Harnama. Ale są też i inni: z Zakładów Marchlewskiego, Zakładów Radiowych, Wojska Polskiego... Wiele członków zespołu tańczy teraz w zespołach Mazowsza, Śląska i w Centralnym Zespole Wojska Polskiego. Kilku tancerzy pracuje w Operze Łódzkiej, Baletnicy i Warszawskiej.

Trafiali do zespołu różnie. Andrzej Klinowski chodził do XI Liceum, którym opiekowały się Zakłady Harnama. Na jednej z okolicznościowych akademii zobaczył po raz pierwszy zespół. Po występie myślał się w jakiś sposób może na się do niego zapisać. Powiedzieli, aby przyszedł do świetlicy. Teraz jest zastępcą kierownika zespołu, jednym z najstarszych członków zespołu.

Sławek Mazurkiewicz był w zespole dziecięcym. Miał za ledwie kilkanaście lat gdy rozpoczął ćwiczenia przygotowawcze, a potem zasadnicze. Obecnie po skończeniu kursu dla instruktorów choreografii prowadzi zajęcia z dziećmi. Bo zespół taneczny Harnama, o-

prócz 50-osobowej grupy zasadniczej i 40-osobowej grupy przygotowawczej, ma jeszcze kilka zespołów dziecięcych, w których pierwsze taneczne kroki stawia około 200 dzieci. Z nich to mają się rekrutować przyszli tancerze reprezentacyjnego zespołu włóknarzy.

Stajemy w V pozycji, croise. Prawa noga z przodu. Robimy demiplię, prawa noga posuwa się końcem stopy po podłodze w przód do pozycji croise, lewa pozostaje w plie, ręce w pozycji 1, spojrzenie na dłoń.

Ponad 1500 występów w ciągu ostatnich 5 lat na estradach Czechosłowacji, NRD, Austrii, Belgii, Włoch, Francji i 57 miast Polski. Złota Palma Łazurowego Wybrzeża zdobyta na Festiwalu w Nicei, Medalia de Bronz na Festiwalu Młodzieży w Bukareszcie, medal na festiwalu w Berlinie, międzynarodowe konkursy w Saint Etienne, w Argentynie i w Teramo a przede wszystkim odznaczenia przez Radę Państwa Orderem Sztandar Pracy drugiej klasy, to najważniejsze z wielu sukcesów zespołu Harnama. Te wydarzenia notują faktografowie zespołu. Ale są sukcesy, o których w wielkiej czerwonej (a jakże!) kronice zespołu się nie wyczyta. Sukcesy te siedzą obok mnie na ławce i co chwila wykrzykują „Wujku zobacz jak mama podskakuje!”. Bowiem w ciągu minionych piętnastu lat skojarzyło się tu 8 małżeństw, które licznym potomstwem gwarantują, jak zwykło się mawiać „rytmiczny dopływ nowych kadr” do zespołu. I dlatego też nie mylił się ten kto twierdził, że w zespole panuje atmosfera rodzinna. I to nie w przenośni ale dosłownie. Bowiem tańczą tu całe rodziny. Pierwszą była rodzina Barników. 3 siostry, 1 brat. Siostry tańczą teraz w Mazowszu. Potem była i jest rodzina Lewandowskich. Małżeństwo i brat, Tadeusz Lewandowski jest asystentem prof. Hryniewieckiego. I wreszcie rodzina Mazurkiewiczów. 2 siostry, 2 braci i mama, która jest krawcową zespołu.

Teraz pas glissade. Stajemy w V pozycji, prawa noga z przodu, demiplię, prawa noga wysuwa się do II pozycji po podłodze końcem wyciągniętej na zewnątrz stopy i do sięga II pozycji... Powtórzę je szeze raz początek, pász glissade... Lucynko, uważaj bo znówu się pomylił!

Kiedys mówiono w ten sposób, Warszawa ma Mazowsze, Śląsk ma Śląsk, a Łódź nie ma żadnego reprezentacyjnego zespołu. Wiele upaństwowimy Harnama, skoszarujemy tancerzy, damy im pensje, kilkumilionowa dotacja i niech nam Harnam tańczy na chwałę naszego miasta. Pierwszą zaproponowali harnamowcy. My mamy swoje zawady, a taniec traktujemy jako prywatną przyjemność. Jeśli chciesz założyć zawodowy zespół, proszę bardzo, ale bez nas. My założymy drugiego Harnama. I tak uładła ta koncepcja. Po tem zespołem Harnama miała się opiekować Rada Narodowa, która zobowiązała się do finansowywania zespołu. Wdziął Kultury dysponował dobrymi chęciami. Z pieniędzy było gorzej. Wreszcie zespół znalazł protektora, który miał i dobre chęci i odpowiednią ilość pieniędzy. Tak harnamowcy zostali reprezentacyjnym zespołem Związku Zawodowego Włóknarzy. I przyszedł należał ze strony Związku Zawodowy i zespół są z tego zadowolone.

Aby ruch ten był wykonany prawidłowo trzeba żeby nogi w toku przeprowadzenia i zmiany ich zachodziły jedna na drugą. W ten sam sposób robi się i embolte w tył.

Gdy kogoś z zespołu zapytano na jakiej akademii to się zdarzyło, będzie miał trudności z prawidłową odpowiedzią. Tyle było tych akademii, na których częściej artystyczna w pełni swymi występami zespół Harnama. Fakt jest fak-

tem, że było to w Warszawie, w Teatrze Polskim, że akademia związana była z Koreą i że tuż przed spektaklem z przerwaniem stwierdzono, że brak par męskich butów z cholewkami. Sytuacja była tragiczna. Występ za chwilę ma się rozpocząć, na salę korpus dyplomatyczny, wysokie osobliwości, a butów nie ma i nie ma gdzie ich pożytyć. I wtedy ktoś z członków zespołu zauważył przechadzającego się za kulisami strażaka. Miał na sobie czarne lśniące cholewki!



Ale regulamin strażacki zabrania pompierowi paradować na bosaka podczas służbowego dyżuru. A nuż zaproszą się jakiś ogień i strażak nie będzie w pełni gotowości bojowej. I co wtedy? Niestety harnamowcy na dyskusję nie mieli czasu. Zanim strażak zorientował się, co się stało, tancerze byli już na estradzie. Po skończonym przedstawięniu zwrócili mu służbowe cholewy wraz z kwiatkami na przeprosiny. Strażak się nie pogniewał, został wielkim przyjacielem zespołu, czego najlepszym dowodem jest telegram gratulacyjny, który nadesłał na jubileusz 15-lecia zespołu podpisany skromnie „od strażaka, któremu zabraliście buty”.

Nie pomagaj tułowiem...! Nie popychaj drugą nogą! Drażek służy tylko jako punkt oparcia, proszę więc nie trzymać go mocno! Zwróćcie uwagę aby przy grand battement le nie naprężyć rąk i szyi!

W Poczdamie podczas Świąta Radia i Telewizji orkiestra Radiofonii Berlińskiej tak się zaczęła na tańczących har-

namowców, że w połowie utworu przestała grać. Na szczęście znalazła się pani Walhmanowa kierownik muzyczny zespołu, która sama na fortepianie dograła tańczonego oberka. Inną przygodę przeżył z zespołem Henryk Debich dyrygent orkiestry Łódzkiego Radia, który akompaniował zespołowi podczas występów na Festiwalu Młodzieży i Studentów w Bukareszcie. W czasie wykonywania tańców góralskich, jednemu z tańczących urwał się metalowy trzonek od ciupagi, który uderzył w orkiestron tuż obok oszołomionego dyrygenta. Od tego czasu tancerze specjalnie zabezpieczają metalowe trzoneki, a orkiestra radiowa przestała akompaniować tancerzom.

Cwiczymy port de bras. Na raz posyłamy tułów w dół na dwa wyprostowujemy się do normalnego położenia, na trzy przeginamy się w tył, na cztery powracamy do normalnego położenia, otwierając ręce do II pozycji. Pamiętajcie aby „odechnąć rękami”!

Tancerzom podczas występu, zwłaszcza przy skocznych manowrach, oberkach odpinają się watałki, spadają kapelusze, wianki. Profesor Hryniewiecki wprowadza zasadę według której, gdy komuś podczas tańca coś upadnie, nie może on zatrzymać się i podnosić zguby, ale tańczy się

cielo trochę ochłonie. Dziś była próba przygotowawcza wyrabiająca ogólną sprawność tancerza. Następną będzie próba nowych układów tanecznych.

Tyle na dziś, następna próba jak zwykle jutro o dziesiątej...

Jutro jest niedziela. Tylko dwa razy w tygodniu w sobotę wieczorem i w niedzielę rano ćwiczy zasadnicza grupa zespołu. W sobotę i niedzielę. Obojętnie czy jest karnawał, lato czy imieniny najbliższego kolegi. Te dwa dni są najlepsze. Każdy ma więcej czasu. Przez cały tydzień trzeba przeć pracować. Taniec jest przyjemnością, przyjemnością dla której poświęca się kina i kawę.

To prawda, że dzięki zespołowi wiele z tych dziewcząt i chłopców zwiedziło kraje do których być może nigdy by nie poleciało. Ale każdy wyjazd to ciężka praca. Dwa, trzy dni bez przerwy w autobusie, potem rozpakowywanie kostiumów, prasowanie i już zaraz występ i już zaraz podróż. I tak w kóło, z się wróci do kraju. A po powrocie do pracy.

Do widzenia... Cześć... W którą stronę idziesz... Sławku po czekaj na mnie!

Już się rozchodzą. Idą pojedynczo, grupkami po dwie trzy osoby. Zegnają się głośno, nawołują siebie. Kierow-



Sedno rzeczy
MARIAN PIECHAL

CZY KONFLIKT POKOLEŃ?

Dużo się czyta ostatnio o tak zwanym konflikcie pokoleń. Ale wiele rzeczy jest tutaj nie wyjaśnionych, a wśród nich trzy zasadnicze: 1) co to jest pokolenie, 2) co to jest konflikt, 3) o co ten konflikt.

Według „Słownika” Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego pokolenie to „potomstwo pochodzące od jednego przodka: synowie i córki stanowią pierwsze

pokolenie, wnukowie i wnuczki drugie itd. I jeszcze: „czas trwania pokolenia, okres życia ludzkiego, obliczony przeciętnie na lat 30”.

Wedle tegoż „Słownika” konflikt, spolszczony wyraz łaciński conflictus, to „spór, starcie się, kolizja, zatarg, zetknięcie się interesów przeciwnych”.

No więc tak to wygląda pojęcie „pokolenia” i pojęcie „konfliktu”. Nie może

być konfliktu pokoleń między dwiema grupami, różniącymi się od siebie o 2, 3 lub 5, a nawet 10 lat — wtedy bowiem jest to zwykły konflikt między dwiema konkurującymi ze so-



Z. WOJCIECHOWSKI
ZDJĘCIA: W. BILIŃSKI



Dalszy ciąg
ze str. 1

pieniądze to nie wszystko, jeśli się weźmie pod uwagę kłopoty z materiałami i ludźmi.

Ze nikt przed wojną przez długie dziesięciolecia nie myślał nigdy o Wielkiej Łodzi — widzimy i na przykładzie łódzkiej tramwajowej: mają szybkość 13,3 km na godzinę, a więc mniejsza, niż tramwaje w Poznaniu i Warszawie i nawet mniejsza, niż przeciętna krajowa (14 km na godzinę). Na rozwinięcie szybkości nie pozwalają wąskie ulice. Na Kilińskiego żaden samochód czy furgon nie minie się z tramwajem; linie jednorozowe z „mijankami” — przejeżdżają się sami i sprawnie jadą „ósemki” na Warszawskiej, „dziewiętnastki” na Karłowej, „czternastki” na Dąbrowskiego, czy „szesnastki” na Lagiewnickiej. Tworzą się korki na jezdni i tramwaj musi czekać, a ludzie ponstować.

Gdyby zaś można sobie było sprawę do załatwienia w mieście dopasować do... tramwaju, to najszybciej załatwilibyśmy je przy pomocy linii „26” — ten tramwaj ma szybkość tramwajów warszawskich (15 km). Z drugiej strony — jeśli chodzi o podróż więcej romantyczną, stępa — wsiadł do „Jedynki”, „Piątki” czy „22” — będziesz jechał przez Łódź nogą za nogą.

Ale nie tempo podróży — nia tramwajem psuje krew to dzianom, a straszliwy tłok w godzinach tzw. szczytu. Pozornie wydawałoby się, że w Łodzi pod tym względem nie jest najgorzej; przeciętna krajowa tzw. napelnienia wozu (ilość pasażerów, która jedzie tramwajem trasą długości 1 kilometra) wynosi 12, a w Łodzi tylko 9,7, ale przecież w godzinach, rozpoczynania pracy w fabrykach, biurach, szkołach i urzędach, w godzinach gdy kończą zajęcia — zagęszczenie wagonów łódzkich jest wprost niesamowite. I nawet sami konduktorzy stali się już na to niewrażliwi. Parę dni temu wsiadł do „trzynastki” na rogu Al. Kościuszki i Zielonej, i widzę, że to beczka śledzi albo — jak mówią — „magiel elektryczna” — zamiast dwóch wagonów jedzie tylko silnikowy, trzeba było więc nadludzkiego wysiłku, by się jeszcze ubić w wagonie.

— Dlaczego tylko jeden wagon? — pytam.

— A bo ja wiem? Facet zobojeźniał już na to co się dzieje. Zresztą nie wiadomo, czy Kodeks Postępowania Administracyjnego nakazuje mu odpowiadać na

takie pytania pasażerów, gdy sam żongluje w ciżbie jak piskorz. A „trzynastka” miała tylko jeden wagon, bo na trasie zdarzyła się awaria i doczepny trzeba było odłączyć. Na marginesie: technicy i inni fachowcy z MPK stają na głowie, by jak najwięcej wagonów było w ruchu. W Łodzi mamy więc najwyższe w kraju wykorzystanie posiadanej taboru — wynosi 81 proc. wszystkich posiadanych wozów.

W tramwajach łódzkich jest tłok, mimo że już osiągnięliśmy ilość taboru planowaną... na koniec tej pięcioletki (808), mimo, że niektóre instytucje starają się rozpoczynać i kończyć urzędowanie nie w godzinach szczytu, a na jego skrajach.

W 1945 roku w prasie łódzkiej można było spotkać takie tytuły: „Tramwaje łódzkie przewożą miesięcznie ludność całej Polski” — i to była prawda, bo przewoziły 25 mln pasażerów. Po siedemnastu latach łódzkie tramwaje przewożą już ludność bez mała półtoręj Polski. W 1957 roku na jednego mieszkańca Łodzi wypadło 481 przejazdów, w roku ubiegłym zaś już 515 przejazdów. Przed 1960 rokiem fachowcy zaobserwowali, że wagony chodzą pełne od krańców do krańców — ostatnio poczynili już nowe sensacyjne odkrycie: tramwaje chodzą, pełne i z powrotem ze śródmieścia do krańców.

Tłok panuje w łódzkich tramwajach, bo daleko nam jeszcze do ideału.

— Tak, ideał — mówił mi inżynier od komunikacji — osiągnął chyba w tej chwili Leningrad. Na tysiąc mieszkańców mają tam dwa wagony, u nas w Łodzi — jeden.

Dusimy się w wagonach tramwajowych, gdyż w Łodzi czas przebywania jednego pasażera w wagonie (jest taki wskaźnik komunikacyjny) przewyższa znacząco przeciętny krajowy i wynosi 3,6 kilometra. Ten czas przebywania stanowi najlepszy wskaźnik tłoku tramwajowego, a w Łodzi jest tak olbrzymi, bo rozciągaliśmy miasto daleko w kierunku obrzeży Wielkiej Łodzi.

Mamy tłok, ponieważ nie można zmieścić na łódzkich ulicach zbyt dużej ilości wagonów. Nawet gdyby nas było na nie stać: jest to sprawa szerokości naszych ulic i szerokości torów, która warunkuje szybkość.

Żeby więc można było na naszych ulicach zmieścić więcej wagonów, trzeba by zwiększyć szybkość, z tym zaś są trudności, bo nie pozwala na to rozstaw torów

wynoszący jak wiadomo 100 cm, a więc o połowę mniej, niż wynosi on wszędzie poza Łodzią.

W sytuacji drogowej Łodzi nie zmniejsza kryzysu komunikacyjnego miasta również i autobusy. By mogły one odciążyć tramwaje, trzeba by ich dużo więcej, a na to nie ma zbyt wielu środków (zresztą są dużo droższe w eksploatacji niż tramwaje) i dostatecznej ilości nawierzchni. Autobus nie pojedzie po kociach łbach i nawierzchni gruntowej, małe byłoby więc możliwości odsieczy ze strony autobusów.

By na ulicach można było więc zmieścić odpowiednią ilość wozów tramwajowych i autobusowych, potrzebne są gładkie nawierzchnie.

By tramwaje i autobusy (chodzą one najwolniej w Łodzi) mogły zwiększyć szybkość — potrzebne są szersze jezdnie, wydzielone torowiska, a więc nowo urządzone arterie miejskie.

By wreszcie mieszkańcy olbrzymich połaci Wielkiej Łodzi zaczęli korzystać z cywilizacji miejskiej, by mogli wyrwać się ze stosunków naprawdę gminnych — powinniśmy jak najszybciej zbudować około 500 km nowych ulic, bo jak byśmy nie liczyli — Łódź czeka podwojenie wysiłków w tej dziedzinie budownictwa. Jeśli mamy zbudować 500 km nowych nawierzchni w ciągu choćby 25 lat, a nie — 50, jak to wynika z dotychczasowego tempa, czy też jeśli mamy nadrobić zaoferowanie w stosunku do całego kraju, gdzie średnia szlachetnych nawierzchni wynosi 28 proc. całości dróg (u nas tylko 14 proc.) — wyjście jest tylko jedno — wydawać co roku nie 60, a co najmniej 120 mln zł na drogi, realizując projekt, który wreszcie po dziesięciokrotnym marazmu komunikacyjnego Łódź zdobyła i uważa za swój.

Mały na myśl głoszący już w całym kraju projekt układu komunikacyjnego naszego miasta stworzony przez Instytut Gospodarki Komunalnej w Warszawie, czyli przez zespół inżynierów pod kierunkiem nagrodzonego Nagrodą Państwową prof. Jana Podolskiego.

Łódź otrzymała ten projekt z dobrych, fachowych rak. Zresztą — mówi o tym również nagroda państwowa i fakt, że sprawy komunikacyjne są w rodzimym Podolskim całym hobby; ojciec twórcy projektu, Roman Podolski, specjalista od tzw. prądów błądzących i trakcji elektrycznej, znany jest studentom politechnik w kraju

i naukowcom w świecie, jako autor dwutomowego dzieła na temat trakcji elektrycznej. A sam autor po pracy nad łódzkim projektem zdążył już przeszkolić fachowców drogowych w... Ghanie, gdzie prowadził specjalny kurs z zakresu komunikacji miejskiej.

Projekt poza tym zasługuje na szybką realizację i dlatego, że zatwierdził go i Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów. Jak zatem ma wyglądać przyszłość komunikacyjna naszego miasta?

Odbyło się już w Łodzi sporo narad i konferencji, na których projekt i jego szczegóły omawiano; dyskusowano, ale przecież szerszemu ogółowi nie są znane najważniejsze pozycje tego planu, który ze zbiorowiska kontrastów drogowych połączonych ze stuletnimi zaniedbaniami ma wreszcie uczynić z Łodzi miasto europejskiej klasy. A więc w skrócie o tym, co nas czeka i co niewątpliwie stanie się chlebem codziennym brygad fachowców, inżynierów i

kursować wagony o długości 14,5 i szerokości 2,20 cm lub 2,40 cm, a więc bardziej pojemne, niż dotychczasowe, — na trasach wybiegowych do nowych osiedli i na nowych odcinkach ulic o natężeniu podróży do 2 tys. w godzinie szczytu będą kursować autobusy.

— i w okresie 20 lat wielkość tzw. potoków pasażerskich, które trzeba by przerzucić w krótkim czasie z miejsca na miejsce, będzie tego rzędu, że budowa metra względnie kolei nadziemnej nie okaże się jeszcze konieczną.

— trasę na Zgierz i Ozorków połączy się z trasą na Pabianice i Tuszyn linią przyspieszoną, biegnącą wzdłuż ulicy Towarowej. W ten sposób przystanki końcowe linii podziemnych zbliżą się do centrum miasta i odpadnie konieczność korzystania przez ludzi dojeżdżających do pracy w Łodzi z miejskich linii tramwajowych i autobusowych.

— w okresie do 1975 roku powstanie w Łodzi 12 skrzy-

żących się jako podstawę do szczegółowych projektów realizacyjnych”. Postanowiono też, że powstanie w związku z tym Biuro Studiów i Projektów Komunikacyjnych w Łodzi na wzór istniejących podobnych biur w Warszawie i na Śląsku.

Jest faktem, że takie biuro w Łodzi powołano do życia, co dowodzi, że sprawy zadawnione i pilne posta nowiliśmy traktować wreszcie z taką powagą i odpowiedzialnością, na jaką zasługują. Z drugiej strony jednak, jak słysząc, na powołaniu takiego biura... na razie się skończyło, a wśród ludzi zainteresowanych sprawą (inżynierowie, fachowcy komunikacyjni) rodzą się obawy, czy nie zabieramy się do tego poważnego dzieła zbyt opieszale i nieśmiało.

Bo projekt prof. Podolskiego przewiduje, że wielkie dzieło naprawy komunikacji w Łodzi winno rozpocząć się już od 1961 roku, a przecież w praktyce przez te dwa lata projektu w zasadzie nie ruszono;

bo wśród speców od gospodarki komunalnej w mieście przeważa opinia, że w tej chwili nie ma środków na realizację projektu prof. Podolskiego,

bo praktyka wykazuje już pewne kolizje z postanowieniami projektu (np. trasa północ-południe według projektu miała przebiegać Ze-



techników w ciągu najbliższych lat dwudziestu, bo taki rozległy okres objęty jest planem.

— mają powstać równoległe arterie z południa na północ i ze wschodu na zachód, niezależnie od arterii dzielnicowych i wylotowych.

— ulice w Łodzi mają być tak szerokie, aby zmieściły się na nich rosnący ruch kołowy (uwzględniając ducha czasu, który idzie, przewidyujemy, że w Łodzi na każdy tysiąc mieszkańców będzie miało w roku 1985 — 80 samochodów osobowych, 25 ciężarowych i 40 motocykli).

— modernizacja dróg w Łodzi będzie wymagać znacznych wyburzeń domów, co jest sprawą bolesną, nie mniej jednak konieczną. Do 1965 roku trzeba by więc rozebrać 3 tys. izb mieszkalnych, do 1975 roku 12.600 izb, tworząc miejsce dla racjonalnych rozwiązań komunikacyjnych.

— i za dwadzieścia lat komunikacja zbiorowa opierać się będzie jeszcze na tramwaju, sieć tramwajowa jednak musi ulec unowocześnieniu poprzez rozdzielenie ruchu tramwajowego od kołowego i wprowadzenie nowego taboru.

— tory pozostaną tej samej szerokości (100 cm) ale dla uzyskania większych szybkości poszerzone będą tzw. międzytorza i luki na zakrętach, by mogły również

zować 2-poziomowych, przy czym większość z nich załatwi zadawany problem wia duktów w granicach naszego miasta.

— w tym samym okresie czeka nasze miasto deglomercja, czyli rozgęszczenie, w wyniku której powstanie większe skupiska ludności na trasach łączących Łódź z miejscowościami podmiejskimi, mieszkającej poza Łodzią, a pracującej w Łodzi. Przewozy tych ludzi ma ułatwić rozbudowa linii kolejowej okalającej śródmieście i urządzenie nowych przystanków.

— cały ten układ komunikacyjny Łodzi ma kosztować 1 miliard 429 milionów zł w okresie do 1975 roku, czyli w latach 1961—65 po 70,3 mln. i w latach 1966—75 po 108 mln. zł rocznie. Całkowita realizacja projektu może nastąpić jednak dopiero w okresie do 1985 roku, co oznacza w latach 1975—85 wydatek miasta na komunikację w wysokości 108 mln zł rocznie.

Tak więc podstawa do działania istnieje! Tym bardziej że poza drobnymi uwagami koreferentów, zasadniczych zastrzeżeń do projektu nie zgłoszono, a na zakończenie dwudniowej konferencji, o której wspomnieliśmy, stwierdzono wręcz, że „projekt układu komunikacyjnego m.

romskiego, Łakowa i Zeligowskiego do Zgierskiej, a obecne prace wskazują na to, że budujemy trasę P—P przez Żeromskiego do Zgierskiej).

— bo nikt właściwie nie wie, kiedy przystąpimy do wielkiego dzieła.

— Nie ma tyle pieniędzy — zastanawiają się jednak inżynierowie komunikacyjni w Łodzi — to trzeba szukać tańszych rozwiązań, ale trzy mać się założeń projektu, bo jest dobry. Weźmy np. sprawę likwidacji nawierzchni gruntowych w Łodzi — tańsze rozwiązania na pewno powinny się znaleźć.

Inżynierowie łódzcy wychodzą z założenia, że dobre drogi w Łodzi powinno już mieć następne pokolenie, a nie dopiero pokolenie dorastające w pierwszych dziesiętnościach lat... następnego stulecia. Swoje zamiary chcą nawet skonkretyzować.

— Za te same pieniądze, które miasto wydaje, chcemy w Łodzi wybudować drogi szybciej i dwa razy więcej — mówią inżynierowie.

I chcą w najbliższym czasie zwołać w mieście specjalny „sejm” komunikacyjny. Bo uważają, że sprawa zasługuje na działanie trzeźwe, gospodarskie i szybkie. My sądzimy podobnie.

FELIKS BABOL

Zdjęcia: Wacław Biliński

"GŁOS z tamtego ŚWIATA"

Twórczość Stanisława Różewicza stanowi osobny rozdział w dziejach naszej powojennej kinematografii. Twórczość to niezbyt może efektowna, nie obliczona na zachwyt snobistycznej krytyki, ale za to bardzo konsekwentna, bardzo osobista, własna a przede wszystkim bardzo humanistyczna. Filmy Różewicza przechodzą na ogół niezauważane i dopiero po jakimś czasie okazuje się, że były najcenniejszą pozycją sezonu. Miejmy nadzieję, że jakaś nagroda w Cannes lub Wenecji przyda nareszcie temu reżyserowi splendoru w oczach rodzimej krytyki.

Zasadniczym przedmiotem zainteresowań Różewicza jest człowiek. I to nie człowiek jako taki, zawieszony w absurdalnej pustce „odwiecznych” dramatów, ale człowiek konkretny, osadzony w swojej epoce i w swoim kraju, w konkretnym czasie i przestrzeni. Nawet wojna widziana oczyma Różewicza nabrała innego niż w większości naszych filmów, ludzkiego wymiaru („Świadek urodzenia”, „Wolne miasto”). Pasjonują go sprawy pozornie drugorzędne, nieefektywne, przemilczane („Trzy kobiety”, „Miejsce na ziemi”). W opowiadaniu tych spraw ujawnia wrażliwość poety i wnikliwość znawcy rzeczy ludzkich. Jest artystą dyskretnym, powściągliwym, nie histeryzując, nie dopowiadając niczego do końca. Każe widzowi myśleć i wyciągać wnioski. Dlatego z niecierpliwością oczekujemy każdego jego nowego filmu. Jeden z nielicznych nigdy nie sprawia zawodu.

I właśnie w okresie Impasu naszej kinematografii, w smutnych „dniach dobroci dla polskiego filmu” on jeden ocalił naszą wiarę i pozwolił zachować nadzieję. „Głos z tamtego świata” jest dziełem interesującym i to z wielu względów. Pierwsza warstwa filmu to warstwa, rzecz można, publicystyczna. Istnieje problem znachorstwa, szarlatanerii żerującej na ludzkiej naiwności, zacofaniu i ciemnocie. Różewicz niedwuznacznie pokazuje tragiczne konsekwencje do jakich to może prowadzić. Ale ta warstwa publicystyczna została w filmie bardzo pogłębiona przez osadzenie jej na cienkiej i subtelnej tkance psychologicznej. Ludzie wierzą nie tylko dlatego, że są obok, ale dlatego, że są samotni i nieszczęśliwi, że chcą i muszą w coś wierzyć. Trzy portrety kobiet — trzy ludzkie dramaty. „Tragizm bezbronnej starości”, pustka samotnego nikomu niepotrzebnego życia, kalektwo.

Trzy razy samotność. Samotność starości i samotność młodości. Człowiek opuszczony i nieszczęśliwy gotów jest uwierzyć w głosy zza świata i w magiczną siłę małych kuleczek, albowiem potrzebne mu są złudzenia, albowiem chwytają się każdego zdziwła nadziei. „Głos z tamtego świata” to film o tragedii i samotności ludzkiej, rozpatrywanej nie w kategoriach egzystencjalizmu i beckettizmu, ale w zrodzonej z konkretnych, mocno osadzonych w rzeczywistości, warunków istnienia. Gdy zawodzi ludzkie możliwości odzwierają się głosy z tamtego świata. Czyż jest jednak remedium na starość, samotność, nieuleczalne kalektwo? Film Różewicza jest chwilami wstrząsający i bardzo w gruncie rzeczy pesymistyczny. Tym bardziej iż, powtarzam raz jeszcze, dotyczy on konkretnych losów ludzkich a nie człowieka in abstracto, człowieka wyobcowanego i wyimaginowanego. Różewicz nasyca swój film mnóstwem realiów, mnóstwem świetnie uchwyconych obserwacji. I dał nam znakomite portrety trzech kobiet — rejentowej (Tatiana Czechowska), telefonistki (Danuta Szafarska) i Wiktorii (Wanda Luczycka).

Ciekawość rysunku psychologicznego idzie tu w parze z doskonałą grą aktorską. Sceny pierwszej rozmowy rejentowej z Wiktorią lub powrotu Szafarskiej z balu — są swego rodzaju majstersztykami. Iż to zostało powiedziane przez odpowiedni dobór światła, zestawień kamery, rekwizytów, a wreszcie gestów i mimiki aktorek.

Nitka jaką trzyma w ręku reżyser jest bardzo cienka. I fakt, iż nie urywa się ona ani razu w całym tym filmie zawdzięczamy inteligencji i taktowi Różewicza. Taktowi w ujęciu tego mocno drażliwego tematu i inteligencji w prowadzeniu opowiadania. Różewicz bardzo zręcznie operuje elipsami i niedopowiedzeniami w najważniejszych po temu momentach narracji (nawiązanie bliższej współpracy między Aksamitowskim a Wiktorią, finał maskarady, los rejentowej itd.). Samo zakończenie filmu zostało również trafnie dobrane bez inklinacji w stronę kryminalu lub melodramatu. Oczywiście nie jest to film bez wad ani potknięć, ale niemniej jest to film udany. Przede wszystkim z racji swego głębokiego humanizmu.



Najbliższy repertuar filmowy zawiera kilka świetnych pozycji, które zyskały już sporo nagród i wiele pochlebnych opinii. W początkach listopada rozpoczynają się jak co roku Dni Filmu Radzieckiego. W poprzednich latach stały one pod znakiem takich arcydzieł kinematografii radzieckiej i światowej jak: „Leżał żurawie”, „Niewysłany list” — Kłatozowa, „Ballada o żołnierzu”, „Czyste niebo” — Czuchraja czy „Los człowieka” — Bondarczuka. W tym roku przeglad najnowszej radzieckiej produkcji filmowej zainauguruje „DZIEWIEC DNI JEDNEGO ROKU” Michaiła Romma, laureata Grand Prix tegorocznego Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Karłowych Warach. Przyznanie tej nagrody było wyrazem uznania dla dzieła filmowego, które swym wszechstronnym nowatorstwem, bogactwem środków artystycznych, wartościami intelektualnymi stanowi próbę zgłębienia wewnętrznego problemu współczesności. Bohaterami są uczeni fizycy pracujący nad nowymi metodami wykorzystania energii jądrowej. Film wnika nie tylko w sens samych badań naukowych, ale również w życie ludzi nauki. Życie to ukazane jest w różnych przejawach fizycznych i psychologicznych, konfliktach uczuciowych i moralnych szczególnie występujących tam, gdzie praca zawodowa i życie osobiste wzajemnie się zacieśnia i wymaga decyzji, rozstrzygnięć. Pod względem realizator-

skim film jest przełomowym dziełem w twórczości reż. Romma, który zerwał w swym dziele z tradycyjnymi, ograniczonymi konwencjami i schematami reżyserii oraz dramaturgii. Dwudziestokilkuletni reżyser Andrej Tarkowski, absolwent moskiewskiego WGIK-u, autor wyświeślanego u nas „Małego marzyciela” zrealizował film, którym udowodnił swą wielką indywidualność twórczą. „DZIECKO WOJNY” jest poe-

— taki tytuł nosi nowy film Lwa Kulidzanowa, prezentowany na tegorocznym festiwalu w Cannes. Reż. Kulidzanow jest między innymi współautorem znanego u nas filmu „Dom, w którym żyjemy” nagrodzonego w 1956 roku na festiwalu w Brukseli. Film Kulidzanowa jest dramatem człowieka samotnego i psychicznie załamane, który niespodziewanie zyskuje szansę powrotu do normalnego życia. Samo ukazanie człowieka

gnalizować dwie komedie muzyczne reż. Aleksandrowa „CYRUS” i „WOLGA, WOLGA” oraz reż. Pyriewa „SWINIARKA I PASTUCH”. W dwóch pierwszych zobaczymy znaną aktorkę radziecką Liubow Orlową.

Z filmów zachodnich warto obejrzeć dawno zapowiadany film sportowy, którego bohaterem jest czterokrotny złoty medalista Igrzysk Olimpijskich w Cortina d'Ampezzo — Toni Seiler. Zdobył on olimpijskie laury w zjeździe, skialomie, slalomie — gigantycznym i kombinacji alpejskiej. Swoją karierę z 1956 roku powtórzył w dwa lata później na mistrzostwach świata w Bad Gastein. Film „TONI SEILER — CZARNA BŁYSKAWICA” reżyserował Hans Grimm, a autorem barwnych zdjęć jest jeden z najlepszych operatorów niemieckich Klaus von Rautenfeld, dawno nieogłoszona Brigitte Bardot ujrzymy w zabawnej komedii reż. Marca Allegre „STOKROTKA”.

Współscenarzystą tego filmu jest Roger Vadim — eksmaż B. B. Oprócz niej grają Nadine Tiller, Dany Covi, Daniel Gelin. Niektórym z zapowiadanych w niniejszej informacji filmom poświęcimy osobne, krytyczne recenzje. Trzeba podkreślić, że najbliższy repertuar filmowy zapowiada się bardzo ciekawie i przynosi oprócz filmów na najwyższym poziomie artystycznym bardzo poszukiwane przez szeroką publiczność filmy rozrywkowe.

A. N.

CO NAS CZEKA?

tycko-lirycznym dramatem wojennym. Treścią filmu są lata walki narodu radzieckiego z okupantem hitlerowskim widziane oczyma dwunastoletniego chłopca — żołnierza. Historia Iwana opowiedziana jest przede wszystkim przy pomocy bardzo ekspresyjnego obrazu filmowego, przy równoczesnym ograniczeniu dialogów do minimum. „Dziecko wojny” zostało entuzjastycznie przyjęte przez krytykę.

„GDY DRZEWIA BYŁY DUŻE”

reprezentującego środowisko swego rodzaju „lumpenproletariatu” stanowi odważne novum w radzieckiej kinematografii. W głównej roli wystąpił Jurij Nikulin dysponujący olbrzymim bogactwem środków aktorskich. We wspomnianych Dniach Filmu Radzieckiego ujrzymy również nową, bezpretensjonalną komedię reż. Azarowa „TATA, MAMA, CORKA I ZIEC”. Na ekranie wejdzie szereg filmów wyświeślanych w latach powojennych wśród nich warto zasy-

Nowe techniki filmu naukowego

Siedemnaście lat temu Polska była jednym z inicjatorów powstania Międzynarodowego Stowarzyszenia Filmu Naukowego. Kiedy pomiędzy 23 a 30 września obradował w Warszawie XVI Kongres AICS — uczestniczyło w nim 199 osób z 26 krajów, zaprezentowano 182 filmy, rozdano 31 dyplomów i 3 puchary. Zaś na najbliższych jedenaście lat „zafiksowane” są już terminy

i miejsca kolejnych Kongresów.

Tegoroczny Kongres nie przyniósł rewelacji artystycznych. Zdaniem dyr. Pasiecznika (WFO) poziom artystyczny filmów był nawet niższy niż w latach ubiegłych. Jednakże z tego, co pokazali filmowcy z 26 krajów wynika, iż wysiłki ich — niezależnie od siebie — szły w ciagu tego roku w kierunku eksperymentu technicz-

nego. W kierunku zbadań możliwości, jakie daje kamera filmowa. W kierunku wykazania, że taśma filmowa stanowi dziś niezbędną pomoc naukową, a szereg zjawisk nie może być w ogóle bez niej badanych. Nie obejdzie się bez niej ani badacz — teoretyk, ani praktyk, wykładawca ani popularyzator wiedzy. Po raz pierwszy też duży wpływ filmów naukowych i można było wyodrębnić oddzielną sekcję naukowo-badawczą.

Te nowe techniki filmowe, które zrodziły się tak w Francji, jak w ZSRR, Japonii, NRF i w innych krajach, stanowią na pewno rewelację i w sensie filmowym i w sensie naukowym. Wspomniimy o niektórych z nich:

Wiele filmów poświęcono sposobom specjalnego oświetlania fotografowanych przed-

miotów i zjawisk. Istnieją obiekty przezroczyste, bezbarwne (choćby nasze zwykłe... szkło). Dzięki luminescencji i fosforescencji struktury te zaczynają świecić, stają się widoczne.

Inny eksperyment: wiązka promieni ultrafioletowych uderza w żyjącą komórkę. Na ekranie obserwujemy rozpad komórki (za ten film Francuz, dr Bessis otrzymał nagrodę Min. Kultury i Sztuki). Filmowcy radzieccy pokazali zdjęcia robione z szybkością 100 milionów zdjęć na sekundę! Jak wiadomo oko ludzkie nie absorbuje zjawisk zachodzących np. z szybkością 1/10,000 sek. Jednakże takie zjawisko fotografowane z szybkością 100 milionów zdjęć na sek. będzie na ekranie trwało kilka sekund, co pozwoli na dokładną analizę nawet poszczególnych faz

procesu. Filmowcy NRF przed stawili zdjęcia, do których użyto lampy elektronowej dającej światło silniejsze od światła słonecznego oraz ponad dwutysięcznokrotne powiększenia preparatów. Prezentowano zdjęcia wykonane wewnątrz organizmu ludzkiego, przy użyciu kamery wielkości ziarnka grochu. — Amerykanie dokonali w ten sposób zdjęć zastawek sercowych. — Wreszcie „wielką sensacją” Kongresu była światłowa premiera filmu A. Lamorisse'a („Podróż balonem”) pt. „Pokaz zdjęć filmowych systemem heliowizji przy użyciu translokatora ZOOM sterowanego elektrycznie”. Ta technika ma przed sobą przyszłość tak w filmie naukowym jak w filmie fabularnym, pozwala bowiem na wyjątkowo długie najazdy kamery. Np. można w jed-

nym ujęciu pokazać z dużej wysokości pole, jeźdźca na koniu pędzącego przez to pole, a następnie najechać kamerą na określony punkt, aż do momentu, w którym cały ekran wypełni leśb koński.

Prócz pokazów — obrady wypełniły także dyskusje — np. próbowano odpowiedzieć na pytanie: „Czym ma być film naukowy?”. Jak się jednak wydaje, wysiłki twórców winny iść obecnie w kierunku wykorzystania nowych technik dla podniesienia artystycznego poziomu filmu naukowego na świecie.

"JAGNA" i BIGOTKI

Działo to się na jednej z peryferyjnych uliczek naszego miasta, gdzie pod nogami skrzypi żwir, bokami spływają leniwie brudne ścieki, a za niskimi płotami kwitną w tej chwili jesienne kwiaty zakrywające nieco brzydotę domków skleconych z białego cegła i białej farby. Co to za ulica, jak się nazywa? Bohaterowie wydarzeń? O to nie pytajcie. Chodzi mi tylko o fakty, a te są prawdziwe, wierzę mi na słowo.

Na tej ulicy żyła sobie pewna staruszka. Staruszka serce gołębie miała, a także własne mieszkanie. Sama była i żyła tylko z renty. Postanowiła więc przyjąć kogoś na mieszkanie za drobną miesięczną opłatą. Trafiła się dziewczyna, młoda, ładna, do tego sierota. Staruszcze dziewczyna przy padła do gustu, zamieszkały więc razem. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że młodość ma swoje prawa.

Pewnego wieczoru, gdy nad ulicą zapadł zmierzch, w ogródki przed oknem coś zaszeleściło, a potem o szyby zabrzęczał cichutki żwir rzucany czyjąś ręką. Staruszka ucho miała wyczulone, bo bardzo bała się złodziei. Usłyszała więc szmery, potem przy ciszone szepty za ścianą, a że sama była kiedys młoda, nie trudno jej było zgadnąć, co oznaczają te konspiracyjne dźwięki.

Stała więc babcia z uchem przy ścianie, cała zamieniona w słuch, naturalnie po to tylko, by się upewnić, czy to przypadkiem nie złodziej. Upewniła się widocznie, bo na drugi dzień cała ulica była dokładnie powiadomiona o tym co się działo za ścianą. Staruszka bowiem miała wiele czasu na komentarze i równie dużo przyjaciół. Trzeba bowiem wiedzieć, że w tych dzielnicach peryferyjnych staruszek jest na kopy. Według statystyk ilościowo zajmują chyba zaraz drugie miejsce po drobnych dzieciach. Dzieje tak się pewnie i dlatego, że naród tam zasiedlał od lat. Zadane burze dziejowe nie zdołały wypłoszyć lokatorów z tych peryferyjnych domków.

A więc odkał zaczęły się te szmery za ścianą, staruszka miała nareszcie pasjonujący temat na długie zimowe dni i wieczory. Przyjaciółki słuchały jej chętnie, jak to staruszki. Same już grzeszyły nie mogąc, tym skwapliwiej lubiły się gorzysć.

A gorzyszy się na wysięgi, by dać świadectwo swej nabożności. Znały bowiem dobrze na tej uliczce z gorliwej bigotki. Miały nawet stałego opiekuna i protektora w osobie miejscowego duszpasterza. Sługa ten Boży odwiedzał je zgodnie z tradycją w pierwszy piątek każdego miesiąca.

Dziewczyna nie bardzo sobie zdawała sprawę z tego że dostała się na języki. Wychodziła rano do pracy w fabryce wracała wieczorem i czekała na swego chłopca. Ze staruszką było jej całkiem dobrze. Nie przeszkadzały sobie.

Leż krótko trwała ta sielanka, bo o raz pewnego do staruszki przyszedł jej syn. Gdy dziewczyna wróciła z pracy poprosił ją o chwilę rozmowy i wyjaśnił:

— Chce zabrac matkę do siebie, musi pani opuścić to mieszkanie.

— Dlaczego? — spytała dziewczyna.

— Matka mieszka tu od lat trzydziestu. To jakby jej własność. No, jednym słowem rozumie pani...

— Chcecie pieniędzy?

— Właśnie...

— Odstępnego dać nie mogę. Nie mam z czego.

— Tak też myślałam.

— To co będzie?

— Musi pani stać łódź.

— Nie pójdę, nie mam dokąd, a zresztą jestem tu zameldowana, mieszkanie należy do kwaterunku.

— Pójdzie pani, ja pani to przyrzekam.

Na tym rozmowa się skończyła.

I oto, zupełnie jak w podwózkowej balladzie, czarne chmury zaczynały się zbierać nad głową dziewczyny. Staruszka nie jest już miła i uprzejma jak dawniej. Wręcz przeciwnie. Ciągłe ma

za złe, daje do zrozumienia, że wie coś na temat prowadzenia się dziewczyny. Na domiar złego chłopiec okazał się niewierny. Przychodzi coraz rzadziej. Dziewczyna jest podrażniona, a w takim nastroju o kłótnię nie trudno. Do tego chce ją wyrzucić z mieszkania. Musi się bronić. Gdy więc staruszka znów ma jakieś pretensje — polemuje rękawicę. Od słowa do słowa wybuchają awantury. Obie nie przebierają w słowach. Rozjuszona babcią z braku lepszego argumentu chwytła słoik z własnoręcznie sporządzoną konfiturą i o to dziewczyna ma na głowie potężnego guza.

Staruszka ma jednak tę przewagę, że podczas gdy dziewczyna pracuje od rana, ona może swobodnie działać. Wkrótce więc cała dzielnica wiedziała, jak to w czasie awantury dziewczyna chwyciła słoik, jak ten słoik w locie zawadził o coś i spadł... prosto na głowę dziewczyny.

— To kara za jej grzechy — skomentowały ten fakt przyjaciółki.

Usłyszała tę opowieść o cudownym zdarzeniu ze siołkiem pewna mieszkanka tej dzielnicy. Była to osoba rozsądna — z racji swej funkcji opiekuna społecznego — interesowała się wszystkim co działo się w jej najbliższym otoczeniu. Otóż ona nie bardzo wierzyła w cuda i wszystko to wydawało jej się podejrzanym. Postanowiła zbadać sprawę bliżej.

Ledwie uciął historię ze siołkiem, a już gruchnęła nowa wieść.

— Zabita, zabita biedna staruszka!

Podbiegły babcie, pobiegły sąsiadki do domu na piętro. Patrzyła, a tu leży staruszka na klatce schodowej. Ledwo oddycha, bo głowę ma rozbitą i bok cały potłuczony. Pojeżdża więc tylko: „o jej, zabita mnie, zabita”. A dziewczyna? Stoi w kacie cała w pasach i słowa wykrztusić nie może.

Wtedy wszyscy na nią, ty taka, owaka, odpowiesz za to! Nawet lekarz, który przyjechał karetą pogotowia, patrzył na nią pełen potępienia. Dziewczyna próbuje się tłumaczyć: „Jak Boga kocham nie zrobiłam tego”.

— Co? Ona śmie wzywać imię pańskie? — Nie mogły ścierpieć staruszki-bigotki, takiego bluźnierstwa.

— Ach, ty siaka, owaka! Kto ma worek? Dajcie worek! Do worka i na taczki z nią. Na smietnik. Do gnoju! Tam jej miejsce.

Rozbiegły się sąsiadki, żeby znaleźć potrzebne akcesoria do egzekucji.

Zdarzyło się jednak, że w tym czasie ulicą koło domu przejeżdżał ksiądz, bo był to właśnie piątek. Do spowiedzi więc jechał, a chłopiec w kompy potrząsał srebrnym dzwonkiem, by ludzie widzieli, że ksiądz jedzie z najświętszym sakramentem. Usłyszały dzwoneczek staruszki, uciżyły się i na kolana padły, a ksiądz widząc, że dzieje się tu rzeczy niezwykle, zaczął zatrzymać konie. Gdy jednak spytał co się stało i po co takie zgromadzenie, znów się krzyk podniósł, bo każda chciała po swojemu wyjaśnić, jaka to krzywda wyrządziła staruszcze ta... ta...

— Rozumiem, rozumiem — kiwał głową zakapturzony duszpasterz, niepewny co też wypadła mu zrobić w takiej sytuacji. Sprawa jest merna, wolałby więc umyć od niej ręce, ale z drugiej strony bał się takim postępowaniem zrazić swoje wierne owieczki. Na szczęście, z kłopotu wybawiła go ta kobieta, o której pisałam, że jest opiekunką społeczną.

— Niech no ksiądz powie, żeby się uspokoiły i nie urządziły samosądu, bo od tego jest prawo.

Rad nieraż zsiadł więc ksiądz z wozu zagarniając polną sutannę i przemówił w te słowa mniej więcej: „... Rozjeżdżcie się spokojnie do domów. Jeśli dziewczyna jest winna, na pewno nie ujdzie kary”. Wspomniał też, że nawet swych wrogów należy miłować. Mówił cichym, natchnionym głosem i w kon-

cu już zupełnie rozrzuconymi staruszką podreptały posuszki nie każda w swoją stronę.

Na placu została tylko dziewczyna i opiekun społeczny.

„Jagna” ciskając iskry z oczu uśmiechała się nieszczęśliwie, „ach gdybym tak miała karabin strzelałabym do nich, abym się trochę sprochno sypała”.

— A fe — skarciła ją opiekun społeczny. — Nie trzeba wygadawać głupstw. Lepiej powiedz, jak to było naprawdę.

Dziewczyna więc opowiedziała, że usłyszała krzyk, wybiegła na schody. Patrzyła, a ona leży na schodach nosem w dół i krzyczy „zabita mnie, zabita...”

— Hm — zadumał się opiekun społeczny. Być może dziewczyna mówi prawdę. Wiedziała już o historii z mieszkaniem. Poza tym znała dobrze tę dziewczynę. Była trochę lekkomyślna, nierównoważona i nerwowa, ale dobra w gruncie rzeczy. Jeśli jednak nie znalazła świadków, mogą ją skazać i pójść za kratki.

Kłóg jednak przecież musi znać prawdę...

— Ja znam — przyznała się wreszcie jedna z sąsiadek staruszek. Mówiła szeptem i zaklinała na wszystkich, by opiekun społeczny zatrzymał dla siebie nazwisko informatora — bo by ją to bigotki rozłożyły. — Opiekun społeczny przyrzekał więc:

— Daję moje słowo, że nie wyjawię nikomu nazwiska. A więc jak to było?

— Szłam właśnie po schodach na górę. Chciałam wejść na strych zobaczyć, czy białka wyszła ale usłyszałam, że ktoś się tam gmerze. Schodziłam na strych sąsiadki i wazkie, pomyślałam więc poczekam, aż ten ktoś zejdzie na dół. Potem zatrzęsiałam i widzę, leci staruszka głową na dół. Na to wybiegła dziewczyna, a resztę to już pani zna...

Teraz już czas na epilog. A wbrew balladowym tradycjom epilog jest optymistyczny. Opiekun społeczny wystąpiła jako świadek, poświadczając o niewinności dziewczyny swym autorytetem (a jest on nie mały), w ten sposób wszystko dobrze się skończyło. Dziewczyna została w mieszkaniu. Tylko chłopiec już nie przychodził wieczorami, bo okazał się zwykłym niemowcem.

Takich to metod chwyciła się nabożna staruszka po to, by pozbyć się uciążliwego lokatora. Racja ma więc chyba Wańkowicz pisząc, że na dnie każdej moralności leży pieniądze. Na szczęście jednak są rozsądni ludzie na świecie. Może niewiele, ale są.

Korespondencja

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W 41 n-rze „Odgłosów” z 14. X. 62 uznał Pan za wskazane zamieścić suto okraszona dowcipami recenzję z „Puszek satyry” pod wyszukany tytułem „Konserwa” piosenki Marka Gronskiego.

Ponieważ: 1-o, ob. Marek Gronski poświęcił mi w niej nazbyt wiele miejsca,

2-o, Pan lubi dowcipy, czego dowodem zamieszczenie wzm. wym. elaboratu,

3-o, autor tegoż, jak zdołałem ustalić drogą żmudnych dochodzeń, jest podobno satyrykiem, pozwalam sobie także przedstawić Panu jeszcze jeden dowcip, tym razem autentyczny.

Oto on:

Na pewnej naradzie, poświęconej omówieniu działalności łódzkiej „Karuzeli”, referent wymienił szereg „dobrych nazwisk” jej współpracowników. Po referacie znajdujący się tam ob. Marek Gronski — nie wytrzymawszy nerwowo — głosem wzburzonym aż niemieckim domagał się pomieszczenia ewangelicznego nazwiska „dobrych nazwisk” współpracowników „Karuzeli”.

Rozumiem Pan więc, że z posiadaczem tak „dobrego nazwiska” nie mogę dyskutować na równie płaszczyźnie, proszę tylko Pana — powołując się na dobre obyczaje dziennikarskie — o zamieszczenie mego listu na łamach „Odgłosów” — w ramach dowieszenia P. T. Czytelników.

Łódź, dnia 12. X. 62.

Z poważaniem

Ryszard Doroba

Od redakcji: Ponieważ ani ten ani argumenty obrażonego Autora uniemożliwiają podjęcie jakiegokolwiek dyskusji, pozostawiamy ocenę recenzji i listu naszym Czytelnikom.

kapele, cizio ma baś, zasadziemy pod niego jakiś szmoncer” — krzyczy gigant do kolegi z zespołu po upatrzeniu sobie ofiary. I „kapela” sady pod gościa z „basia” (pieniedźmi) aż do skutku, dając mu niedwuznacznie do zrozumienia skierowanymi w jego stronę instrumentami, iż grana melodia dedykowana jest właśnie jemu. Klezmer-gigant potrafi również — gdy mu na tym zależy — w bardzo szybkim czasie dowiedzieć się nazwiska lub imienia kandydata „na basowanie” lub

ANDRZEJ MAKOWIECKI



braci klezmerskiej, która w tworem tym bardzo umiejętnie potrafiła zagrać na uczuciach patriotycznych wielu podchmielonych bywalców lokali. Innym sposobem uzupełnienia pensji miesięcznej jest tzw. koncert życzeń. Zespół grający na przykład do godziny trzeciej w nocy przestaje grać z chwilą wybiecia tej godziny, po czym ustami jednego z klezmerów zapowiadają: „Na tym kończymy naszą część oficjalną, życzymy państwu dobrej nocy, a teraz ogłaszamy koncert życzeń. Oczekujemy propozycji”. I bardzo często po tym gorącym apelu orkiestry sunie do podium grupa ze „stowami” w garściach. „Laziorne” (liche) tango, „laziorne” fokstro, „laziorne” wale kupię tu można za 5 „dych”, lepiej jednak „bulić” „stowę” — bo wiem czas trwania utworu uzależniony jest właśnie od wysokości ofiarowanej sumy. Za „bok” 50-złotowy orkiestra gra refren maksimum dwa razy. „Sympatyczna” stowa skłania „kapela” do powtórzenia refrenu pięć, czasem i sześć razy. „Pięcsoty” zdarzają się bardzo rzadko, aczkolwiek sopocki „Grand” oraz niektóre lokale zakopiańskie widziały i takie „basowanie”.

III

Dużym szacunkiem otaczają klezmerzy tych spośród siebie, którzy mają tzw. „greps” do kobiet. Tupet klezmera — podrywacza pozwala mu prosić kobietę do tańca nawet wtedy, gdy towarzystwo jej składa się tylko z jednego mężczyzny. W takich trudnych warunkach podrywacz nigdy nie działa bez porozumienia się z resztą orkiestry, która żywo reaguje na każdy jego „cynk” (znak). „Neskim, bomba cizia przy lawie, Zafasynuj gajgami (skrzypce). Ja szarpnę” — szepcze podrywacz skrzypkowi i w chwili później odważnie maszeruje w stronę stolika z „bombą”, orkiestra zaś zaczyna grać na dany przez podrywacza cynk w takim momencie, w którym ani partner ofiary, ani nikt inny z sali nie ma już szans na sklonienie się przed nią, przed naszym klezmerem. Orkiestra gra teraz długo i namiętnie, aby kolega mógł dziewczynę „zerwać”.

IV

Pewnego letniego dnia w „ama południe taras nadmorskiej kawiarni zalany był słońcem. Litościwy parasol osłaniał przed promieniami słońca stolik, przy którym siedziało dwóch białych klezmerów. Klezmerów nie tęskniło cich ani za wodą morską ani za piaskiem plaży, bowiem o dwunastej w południe prawdziwy klezmer ma „kaca”, a chroniciel „kac” nie cierpi słońca. Gdy o dwunastej w południe z umieszczonego na plaży głośnika stary Armstrong ogoranymi ustnikiem wargami, eksplodującym wzruszeniem głosem śpiewał: „Pocałunkiem twoim noca uczyniły mnie szczęśliwym” jeden z klezmerów dłużej leniwie w nosie, drugi zaś skrył część twarzy w kufku piwa. Skryłby w piwie i uszy, gdyby pozwoliła mu na to średnica kufka.

A. MAKOWIECKI

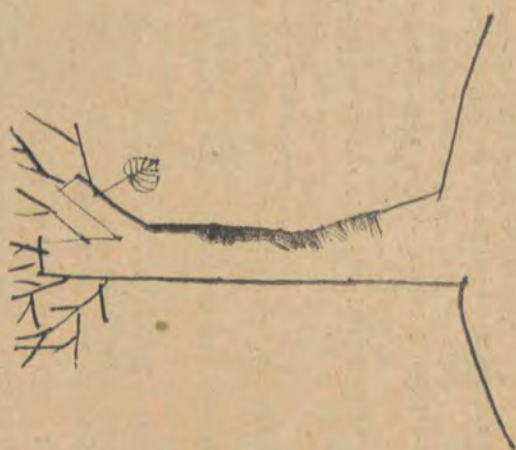
MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN

OD POCZĄTKU

Z głosem obcowanie od początku
Odkrycie zwierząt z popiołu i rzeczy z popiołu
Z czasem obcowanie od początku
Składanie rozbitych zegarów w ogrodzie podłogi miasta
W ogień nad którym strone przeloty
Jaskółek nie zadręczonych

Jakie bolesne umieranie Nie biją w dzwony na pogrzeb krzesła
Nie rwą włosów z głowy Nie wkładają czarnych pończoch
Drzewo umiera ciszej niż wosk
Zabite na wojnie jest dnożną stroną świata
I ręką uciętą
W jego szkielecie ogniste gniazda pełne jaskółek z ołowiu
Języki ognia zlizują kształt aż upadnie
Na sparzone kolana

— Come, little leaves, — said the wind one day,
— Come over the meadows with me and play,
Put on your dresses of red and gold.
For summer is gone and days are cold.
Dancing and whirling the little leaves went;
Winter called them, and they were content,
Soon, fast asleep in their earthy beds,
The snow laid a coverlet over their heads.



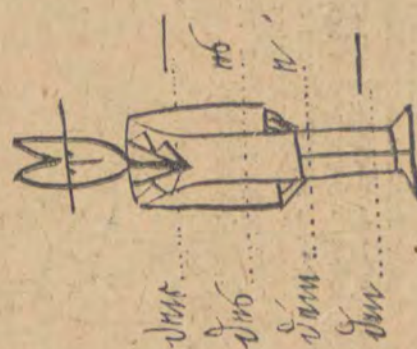
EINE KLEINE HAUSAUFGABE

Ergänzen Sie folgende Sätze:

- 1) Jeder ... hat zwei ...
- 2) ... ist ... Eisen.

Suchen Sie sich die richtigen Wörter heraus und füllen Sie die Lücken damit:

- 1) Tische, Köpfe, Katze, Mensch, Esel, Litter, Schrank, Meter, Stuhl, Beine.
- 2) Schnee, als, flüssiger, kostbarer, Tabak, Gold, frischer, Taschentuch, wie, Geld.



NO MORE

A fat lady was very fond of skating.
Once she went down to a lake to spend few hours on the ice. Very soon she had a bad fall. She was very heavy and fat. She was unable to get up.
She sat on the ice looking for help. She was very sad.
Some minutes later a man came skating up to her and helped her to rise.

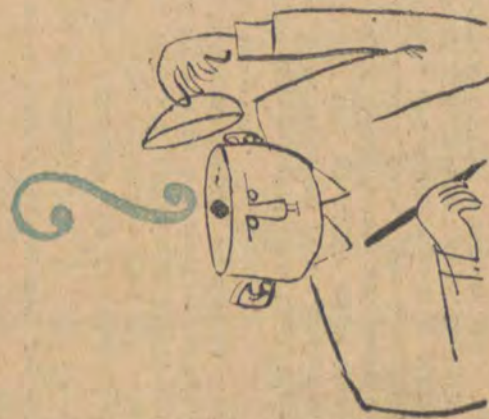
He said:
— It is your first time on the ice, I suppose?
The lady replied:
— It is not my first, but it shall be my last, thank you.

WET PAINT

It was a dark night. A man was riding in a car. At last he came to a cross-road. He did not know which way to turn.

There was a pole in front of him with a board on the top of it. Something was written on the board.
He looked for a match and found only one in the match-box.

He climbed to the top of the pole, lit his only match and read: WET PAINT.



Beine, Knie, sein Kinn, sein Herz sind sächlich. Ist ein deutscher Mann wirklich männlich, oder ist er weiblich, oder ist er sogar sächlich? Niemand kann diese Frage beantworten.

Drei volle Monate habe ich in Deutschland die deutsche Sprache gelernt und habe nur einen Satz fest im Kopf:

— Zwei Glas, bitte.

Die englische Sprache kann man in dreissig Stunden erlernen, die französische in dreissig Tagen, aber die deutsche Sprache muss man dreissig Jahre lernen.

Magdalena

o rannej godzinie

Wariat, o mało się nie wywalił, a Ziułka zawołała: „Uważaj na zakrętach!” Ale nasze krzyki nie zrobiły na Tośku i Kazka żadnego wrażenia. Śmiali się obydwaj jak idioci. Gdy tak rydzeli, przyglądałam im się, jakby występowali w cyrku. Z góry wiedziałam, czym się ta heca może zakończyć. Tośiek otworzył następne drzwi i uklonił się w pas przed nami. Potem wziął mnie pod rękę. Kazek zrobił to samo z Ziułką i zaprowadził nas do pokoju. Usiedliśmy przy stole zastawionym zakąskami, winem, eksportową, i czego tam nie było! Słowo daję, po raz pierwszy w życiu zasiadłam przy takim stole. Talerzyków, noży, widelcy, widelczyków było niemal tyle co dań. Nie wiedziałam, za co się brać najpierw. „Niech cię nie znam Tośiek, ale niespodzianka!”

— powiedziałam do niego. Tośiek, pocałował mnie w rękę i odparł: „Dzisiaj święto w tym domu”. „Wysadziłeś się?” — powiedziałam. A na to Tośiek: „Nie, Magda? Powiedz, podoba ci się taka impreza?” „Rzeczywiście, organizacja na medal” — odparłam z przekąsem. Pan się chyba domyślił, że wszystko było ukartowane z góry. Na tychmiast po moim telefonie Tośiek skontaktował się z Kazkiem i Ziułką. Ziułka została w domu i przygotowała przyjęcie, a Kazek przyjechał do nas. „Tośiek, ty jesteś genialny — powiedziałam — Jednak mam do was pretensję.” „Ależ miła, co się stało?” — zapytał Tośiek. „Dlaczego nie uprzedziłeś mnie, że Ziułka jest u ciebie?” „To miała być niespodzianka” — rzekł Tośiek. — Nie lubisz niespodzianek, Magda? Powiedz, jesteś niezadowolona?” „Och, dlaczego miałabym być niezadowolona? Cieszę się. Cho-

lennie mi jest wesoło” — powiedziałam.

No więc siedzieliśmy przy stole i ucztowali. Ziułka zarumieniła się, oczy jej się rozszerzyły i błyszczały, wyraźnie leciała na Kazka. Ja



jednak nie mogłam przyjść do siebie, wszystko mnie drażniło. Tośiek przekreślił gałkę radia, jakaś babka śpiewała piosenki ludowe, miała bardzo ładny głos, ale Ziułka chichotała bez przerwy i przeszkadzała słuchać. Babka śpiewała: „Córku, moja córku, gdzie wianek pojechał”, śpiewała dalej: „A jaś mi powiedział, że on ciebie nie chce, Twój ruciany wianek pod nogami, depce”, znalazłam te słowa i melodię, bo parę lat temu, kiedy była moda na Mazowsze, zbierałyśmy się z Iską, z Karolą i innymi i wydierały na całą ulicę. Więc ta idiotka zaśmiewała się do łez z tych słów. „Zamknij się, zamknij tę swoją jadaczkę” — powiedziałam do niej. „O co ci chodzi?” — zapytała. „O nic” — powiedziałam. — Denerwujesz mnie i koniec.” Ziułka uśmiechała się, że jej się zbiera na płacz, zwiesiła głowę i zaczęła tak mówić, jak dzieci: „Spójrz, Tośiek. Ja ja denerwuję. Krzywdzi mnie ta dziewczyna. Ja się poplamczę”. „Słuchajcie malowane krasnoludki — powiedział

Tośiek. — Najlepsze lekarstwo na nieporozumienia, to kropelka. Napijcie się, dziewczęta”. Ale się zebrał, wariat. Muszę pana uspokoić. Tośiek nie zniosł nas do wódki. Kto nie chciał, to nie pił. Ja odstawiłam swój kieliszek, ale Ziułka rozkleiła się na dobre. Zresztą nie wiem, może tylko udawała. Złapałam ją na tym, że raz i drugi dawała znak. Tośkowi. Tośiek również przyglądał mi się, jakby mnie po raz pierwszy zobaczył. Zgniewało mnie to i powiedziałam: „Chciałeś mi coś powiedzieć, Tośiek?” „Chciałem, Magda. Powiedziałaś, że pojedziesz z nami? Zgodziłaś się na moją propozycję?” „Powiedziałam” — odparłam. Ziułka się nagle ożywiła. Uwiesiła się na mojej szyi i zaczęła wołać: „Nie, Magda! Cudownie! Jedziemy razem nad morze. Marzyłam o morzu, a ty?” Oderwałam się od niej. „Odwal się” — powiedziałam. Powinna była zrozumieć, że mało mnie obchodziły jej zachwyty. Ale to była bezczelna gęś. Zaczęła

klaskać w dłonie: „W deche, Magda! Użyjemy światła! Wyrwiemy się z tej zakopconej Łodzi. Nareszcie pojedziemy nad morze. Wyobrażasz sobie?” „Zamknij się” — powiedziałam do niej Kazek. Tośiek zwrócił się do mnie. „Ale mówisz tak niechętnie, Magda? Nie rozumiem.” „Bo nie mam ochoty jechać — powiedziałam. — Ale pojedę.” „Nie rozumiem, Magda — rzekł Tośiek. — Dlaczego jedziesz, skoro nie masz ochoty? Mnie to nie przeszkadza. Ale ciekawy jestem. Dlaczego jedziesz?” „To moja sprawa” — odparłam. Tośiek tak mnie naciskał pytaniami, że wypaliłam w końcu: „Uciekłam od ciotki. Jeśli chcesz wiedzieć, to spaliłam za sobą wszystkie mosty. I muszę jechać.” Rany, jaką mnie miał Tośiek. Trudno sobie wyobrazić. Pan rozumie, co znać było dla niego moje wyznanie. Ziułka otworzyła usta i gapiała się na mnie jak cielenie. „Nie, Magda, to nie do wiary” powiedziała. Rzecz jasna, brała mnie pod włos. Nie zwracałam na nią uwagi. Powiedziałam do Tośka: „Zrozumiałeś mnie, Tośiek?” „Zrozumiałem” — odparł. „Marzyłam kiedyś o morzu. Rany jak marzyłam. Więc teraz trafia się okazja i jadę. Jeszcze jednego, Tośiek. Daj jeszcze jednego. Niech to wszystko diabli wezmą.” Wypiliam i Tośiek zapytał: „Jak się czujesz, Magda?” „Pierwszorzednie — odparłam. — Jak śliwka w kompotcie. Ziułka się znowu wyrwała: „W deche, Magda! Jedziemy nad morze!” Miałam już chyba dość. Wódka robiła swoje. Jeżeli przedtem udawałam, że mnie co nieco łączy z Ziułką, to teraz przestałam się z nią liczyć. Już dawno od-

Little Mary lived in the great Kansas prairie with Uncle Henry and Aunt Jane. Uncle Henry was a farmer and Aunt Jane was his wife.

Their house was very small. It had only one room in it. In the room there were a table, three or four chairs and three beds.

There were no trees or flowers near the little house.

Uncle Henry and Aunt Jane worked all day long. They never laughed. But Mary laughed very often. She was happy.

She had a friend. It was Bobby, a little black dog with long hair, small black eyes and a funny little nose.

Bobby and Mary played all day long.

One day Uncle Henry stood at the door of his house and looked at the sky. The sky was grey. Mary stood at the door with Bobby in her arms and looked at the sky too. Aunt Jane was in the room.

Suddenly a strong, cold wind came and the sky became dark. Uncle Henry cried out to Aunt Jane:

— A cyclone, Jane, a cyclone! I shall go and look after the cows and horses!

Uncle Henry ran off.

Aunt Jane came to the door and looked at the sky. She cried:

— Quick, Mary! Run to the house! I must help Uncle Henry! And Aunt Jane ran off too.

Mary ran into the house with Bobby in her arms. At that moment a strange thing happened.

— 130 —

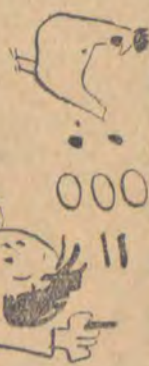
SCHWERE AUFGABE

Ein Farmer hatte einen Sohn. Der Sohn war zehn Jahre alt und besuchte die Dorfschule.

Eines Tages ging der Farmer zum Mathematiklehrer und sagte:

— Mein Herr, Sie sind ein Dummkopf!

Der Mathematiklehrer fühlte sich beleidigt und ging zum Sheriff. Der Sheriff rief den Farmer und fragte:



— Warum bist du nicht höflich?

Der Farmer antwortete:

— Der Lehrer machte meinen Sohn und mich krank. Wir beide konnten die mathematische Hausaufgabe nicht lösen.

— Wie lautete die Hausaufgabe, — fragte der Sheriff.

— Der Mathematiklehrer wollte wissen, wie viele Eier 0 2/8 Hühner in 12 15/19 Tagen legen, wenn 4 3/4 Hühner in 6 1/16 Tagen 8 2/3 Eier legen. Können Sie vielleicht diese Aufgabe lösen, Herr Sheriff?

The cyclone lifted the house slowly into the air and carried it miles and miles away.

It was very dark in the house. Mary said:

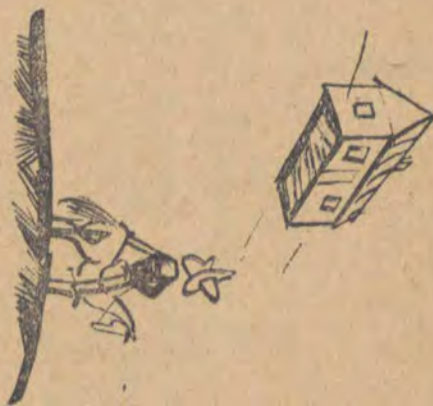
— What will happen to us?

Bobby ran around and barked but nothing happened.

— I am so sleepy, — said Mary.

She got up from the floor, found her bed and lay down on it. Bobby came up to her and lay down too.

Mary and Bobby closed their eyes and were soon asleep. (to be continued)



— 131 —

ÜBER DIE DEUTSCHE SPRACHE

nach Mark Twain

Wer nicht selbst Deutsch gelernt hat, der weiss nicht, wie die Sprache kompliziert ist.

Die persönlichen Fürwörter und Adjektiva dieser Sprache sind eine schreckliche Sache. Das Wort SHE bedeutet SHE und HER und YOU und THEM und THEY. Ein einziges Wort aus drei Buchstaben hat sechs verschiedene Bedeutungen. Das ist ja schrecklich. Man weiss niemals, was der Sprechende sagen will.

Auch die Adjektivformen sind schrecklich. Diese Formen sind sehr kompliziert. Wenn ich in der englischen Sprache MY GOOD FRIEND sage, so ist die Sache klar und einfach. Immer dieselbe Adjektivform, und das genügt. Aber nicht in der deutschen Sprache. Der Deutsche muss das Adjektiv deklinieren und deklinieren, z. B. MEIN GUTER FREUND, MEINEN GUTEN FREUND, MEINEM GUTEN FREUNDE, MEINEN GUTEN FREUND usw. Das ist ja schrecklich. Es ist besser keinen FREUND in Deutschland zu haben.

Mit dem Geschlecht der Substantive ist es auch nicht besser. Es ist auch sehr kompliziert. Ein Baum ist männlich, seine Knospen sind weiblich, seine Blätter sind sächlich; Pferde sind sächlich, Hunde sind männlich, Katzen sind weiblich; des Menschen Mund, Nacken, Busen, Ellbogen, Finger, Nabel, Füsse und Leib sind männlichen Geschlechts; der Kopf ist männlich, aber das Haupt ist schon sächlich. Eines Menschen Nase, Lippe, Schulter, Brust, Hüfte und Zehne sind weiblich; seine Ohren, Augen,

Dalszy ciąg
ze str. 9

gadłam, że Tosiek i Kazek ją odpowiednio nastawili, co ma robić i co ma mówić. Nie potrzebował się wysilać, Złutka mogła z powodzeniem zostać ich nauczycielką. Dużo więcej umiała niż oni. Tym bardziej grała mi na nerwach, że była taką wstępną kreaturą. Więc powiedziałam do Toska: „Daj jeszcze jednego Tosiek”. „Czy nie czas już wyciążyć wstępną bieg?” — zapytał Tosiek. „Nie — odpowiedziałam — Daj, a coś ci powiem. Wszystkim wam oś powiem”. Tosiek nalał i wypiliśmy. „No więc mówię — rzekłam — Jesteście świnię. Och, jakie świnię. Ja też jestem świnią”. Jeżeli pan myśli, że ktoseś z nich się obraziło, to pan się mylił. Wszyscy zaczęli ryć, a najgłośniejszą Złutka. „Jesteś fantastyczna, Magda” — powiedziała. Usiadła Kazkowi na kolanach i jeszcze pchotała. „Powiedz, Kazek, nie fajna ta Magda? No powiedz”.

W tej chwili zadzwonił telefon. Nie pamiętam, może była druga albo trzecia nad ranem. W każdym razie za oknem robił się świt. Przypomniałam sobie, że spojrzałam w okno i zobaczyłam kopułę kościoła. Pan wie, chodzi mi o ten nowy kościół, który stoi przy wylocie Uniwersyteckiej. Fantastyczny widok, zwłaszcza jak się idzie od cementarza na Dolach. Uważałam to za najładniejsze wejście do Łodzi. Więc zwróciłam uwagę na tę kopułę, bo wydawało mi się, jakby po brzegach świeciła. Nawet powiedziałam coś na ten temat. „Patrzą, Tosiek, pali się czy co?”. I wtedy usłyszeliśmy telefon. „Kto

u Boga ojca może dzwonić o tej porze?” — zapytał Kazek. Złutka spojrzała na mnie, rany, jaką miała minę, jakby wszystko już wiedziała. Usiadła Kazkowi na kolanach i objęła go za szyję. „Och, zamknijcie mu pysk, co za idiota rozdzwania się po nocy” powiedziała. Tosiek jednak podszedł do aparatu. Zaczekał chwilę i dopiero podniósł słuchawkę. „Halo” — powiedział. „A moje uszanowanie, całuję rączki, jak się masz ślicznotko”. Zakrył słuchawkę ręką i zapytał mnie szepcąc: „Jesteś tutaj? Nie ma cię? Co mam powiedzieć?” „Nie ma” — odpowiedziałam twardo. Więc Tosiek powiedział: „Nie, Magdy nie ma u mnie. Co ci strzeliło do głowy, żeby porządnym ludzi budzić po nocy? Co się stało?” „Ech, — odparł po chwili — co ty mówisz? Pewnie poszła do koleżanek”. I znowu musiał wystąpić dłuższego przemówienia, pan się chyba domyślił, że to dzwoniła Mariola, kto inny wpadłby na ten pomysł. Terkotała tak głośno, że słychać ją było na środku pokoju. Boże święty, ależ mnie obśmarowała. Tosiek, wariat, odłożył słuchawkę na bok i tylko co chwilę dochodził, nachylał się i mówił: „Tak, tak”, wyglądało to komicznie, ale do śmiechu nie było. Tylko ta idiotka Złutka zakryła pięścią usta, wprost dusiła się, aż ją Kazek nakrył poduszką i tak trzymał. Wreszcie Tosiek powiedział: „Bardzo cię proszę, przyjeźdź. No więc mam czekać na ciebie? Nie? Wielka szkoda. Ale może się jeszcze namyślił? Więc adieu”.

Złutka zeskoczyła z kolan Kazka i zaczęła tańczyć po pokoju. Zupelnie straciła głowę. Nie wiadomo, co ją tak śmieszyło. „Uspokój się

ty wariatko! — krzyknął Kazek. — Całą kamienicę pobudzisz”. Ale Złutka nie ustawała w tańcu, więc ją rzucił na kanapę i nakrył poduszką. Złutka zanosila się od śmiechu. „Tosiek, czy Mariola tu przyjeździe?” — zapytałam. „Nie — powiedział Tosiek — Nie ma o tym mowy. Uwierzyła, że cie ty nie ma”. Chciałam go jeszcze zapytać o Mariolę, ale znowu odezwał się telefon. Tosiek podniósł słuchawkę. „Co to jest! — krzyknął — kto dzwoni po nocy?” „Panie Kochany! — powiedział po chwili — Bardzo pana szanuję, ale jak się pan nie uspokoi i nie rozłączy, to natychmiast zadzwonię po milicję”. I położył słuchawkę. „Zgadnij, kto telefonował?” — zapytał mnie. „Skąd mogę wiedzieć?” — powiedziałam. „Niejaki pan Kostek”. „Rany Boga — zawołała ta głupia kretynka Złutka. — To ten syn Geografa. Musimy stąd pryskać. Niebawem i sam komendant milicji się odezwie!” „Komendant jak komendant — powiedziałam — ale znam jeszcze paru facetów, którzy jeśli Kostek zadzwonił, to mogą to zrobić”. No jasne, dlaczego nie mógłby tego zrobić Franuś, albo Wittek? lub sam Geograf? Dziwi się pan, że Kostek zadzwonił? Ja się nie dziwię. Po takich listach? Trzeba by prawdziwej katastrofy, żeby otrzeźwiał. I nie bardzo by mnie zdziwiło, gdyby Franuś zadzwonił. Słowo daję. Też wariat pierwszej klasy. Ależ mi się rodzina powiększyła, sama nie wiedziałam kiedy. Rany, nie myślałam, że jestem aż tak bogata. Dopiero by się Ceśka zdziwiła.

Ależ ta Mariola narozrabiała. Musiała pół miasta poruszyć. Dzwoniła nawet do Geografa, wariatka. Wy-

obrażam sobie, jaka była zła. A ciotka? Niech pan mi da spokój z ciotką. Co też pan mówi? Nie straciłam serca do ciotki, coś podobnego! Ciotkę zawsze kochałam i Kocham. Nie chcę o niej mówić, bo wie pan, jest mi przykro. To było głupie, ale co mam teraz

robić, płakać, posypać sobie głowę popiołem, jak nieraz radził nam Tato? No więc. Usiadłam przy Tośku, „Słuchasz mnie, Tosiek?” — zapytałam. „Słucham” — powiedział. „A ty Kazek?” „O co ci chodzi?” — zapytał Kazek. „No więc mówię wam, pojedziemy

nad morze. I pijemy za naszą podróż”. „To rozumiem!” — rzekła Złutka i zerwała się z kanapy. Dopiero teraz zaczął się ubaw. Złutka zachowywała się niemożliwie. Nie będę pana nużył tymi scenkami. Było wesoło, fakt.

Nad samym ranem rzuciłam się na kanapę. Byłam cholernie zmęczona. Zasnęłam natychmiast, nawet nie wiem, jak sobie urządziłam spanie. Tosiek i Kazek. Co mnie to zresztą obchodziło. Wiem tylko, że kiedy się obudziłam, miałam przy sobie Złutkę. Nie powiem, że bym wypoczęła. Bolały mnie wszystkie kości. Do tego przysiliły mi się różne rzeczy. Kładąc się spać, byłam pewna, że mi się coś takiego przytrafi. Rzeczywiście, śniło mi się, że byłam w celi i obok mnie stał Szczur. Szczur był ubrany jak adwokat, miał na sobie czarną pelerynę. Nie mogłam patrzeć na niego, strasznie się bałam. Pan sobie przypomina, opowiadałam, że Szczur często pojawiał się w moich snach i zawsze w tej samej postaci, okropna gęba. Potem ta cęła zaczęła się napelnić wodą, woda początkowo przeciekała pod drzwiami, było jej coraz więcej, stałam już w niej po kostki. Nagle Szczur zniknął i znalazłam się nad morzem. Obok mnie była Mariola, trzymałyśmy się za ręce. Nikogo więcej nie było na plaży, tylko ja i Mariola. Boże święty, jaka byłam szczęśliwa. Biegłyśmy z Mariolą wzdłuż brzegu, daleko na morzu zobaczyłam łódkę, a w niej Geografa. Geograf płynął do nas, śmiał się i kiedy już był blisko, że mogłam go ręką dosięgnąć, łódka się wywróciła i Geograf zniknął pod wodą. Zaczęłam krzyczeć i obudziłam się.



SCHEMAT NA PUBLICYSTYKĘ

Ponieważ muszę oglądać program telewizyjny, uciechy nie mam. Pomyślałem: teraz dopiero telewizja pokaże swoje możliwości — z nowym zapalem, odregenerowanymi szarymi komórkami siła twórczego można zdziałać. Chyba wielu telewidzów pocieszało się w podobny sposób i z miejsca rozgrzeszyło telewizję za okres kanikuły letniej. No, i nabraliśmy się. Zapomnieliśmy, że jesień. A jesień — pora senna, letargiczna, ponura. Chandra słotne pogody wywołują, chandry dostają telewidzowie po zchandryczonych audycjach.

Zwłaszcza po tych publicystycznych.

Na przykład — Katowice. Lansują od dawna publicystykę z gatunku „przemysłowej”. I wszystko byłoby pięknie — bo choć temat niewdzięczny, mało atrakcyjny, to z drugiej strony istnieje szeroka potrzeba systematycznego zapoznawania z taką problematyką, wszak powinniśmy wiedzieć w jakim kraju żyjemy, — więc, powiadam, mogłoby być pięknie, ale nie jest, gdyż katowickie programy kwalifikują się do poziomu „produkcyjniaków”. A te, niestety, nie są w stanie zadowolić, ani zaciekawie kogokolwiek. Stąd większość moich znajomych wyłącza po prostu telewizor na czas trwania audycji, zapowiadanej jako „publicystyczna (i z Katowic)”. Prawdopodobnie całe zło zawiera się w schematyzmie

scenariuszy. Rozumiem, że łatwiej odwalić wszystko według jednego szablonu. Łatwiej i szybciej, po co się przemęczać, jeżeli istnieje gotowa receptura na audycję? Ale w takim razie, po co się męczyć oglądaniem tych audycji? I tak wiadomo, co w nich pokażą. Ze na początek dwóch panów porozmawia ze sobą, darszą się uprzejmymi uśmiechami (aby zaś telewidz nie miał wątpliwości, że reporter jest „żywy” i bezpośredni nadawany z terenu, jeden z panów będzie występował w nieskazitelnej garniturze, drugi natomiast wystąpi w kombinie z robotniczym, wszystko na tle hali fabrycznej), że później nastąpi tak zwane urozmaicenie audycji przez emisję dokrętek filmowych, przedstawiających ten plener w różnych ujęciach hali fabrycznej, maszyny w ruchu, etc.

I że na zakończenie, pan z mikrofonem przeprowadzi jeszcze jeden wywiadzik oraz zapostuluje (z uśmiechem) w stronę kamery — ciężka jest praca robotnika. Znakomity temat w niedawnej audycji Gwinnona Gajda, zatytułowanej „Jak za króla Cwieczka”, — traktującej o przestarzałych metodach pracy, o urządzeniach muzealnych, egzystujących w wielu nowoczesnych zakładach pracy, i wynikających stąd paradoksalnych sytuacjach: obok supergigantów nowości technicznych nie rzadko spotyka się system pracy na łopacie i wiadro — został znokautowany dokład-

nie przez swoich realizatorów. Podobny los spotkał program Maćkowiaka i Kopela „Ludzie z jednej brygady”. Panowie w telewizji przeprowadzali wywiady w stylu „co tam słychać, na fabryce, ciężko, nie?” a ilustrującą kilkanaście mniej lub więcej efektownych ujęć wielkiego pieca Huty Kościuszko, całość została zaś nazwana reportażem publicystycznym.

Katowice, to prawda, nie robią całej publicystyki telewizyjnej. Jednak widocznie schemat na publicystykę zaczął obowiązywać we wszystkich ośrodkach — łącznie z warszawskim. Nienaganny, jak dotąd, Karol Lubelczyk sprecyzował program, idealnie pasujący do powyższych opisów. Nazwany „Cena świadectwa” (16, X), w myśl zapowiedzi w „Radiu i Telewizji” zamierzał pokazać problemy związane z oświatą dorosłych. Telewidzom, którzy bohaterko wytrzymali do końca tej półgodzinnej audycji, zaskakująco została wielce odkrywcza pointa, a mianowicie — osoby pracujące zawodowo i jednocześnie uzupełniające swoje wykształcenie muszą rezygnować z wszelkich rozrywek, i że w ogóle jest im ciężko pogodzić pracę z nauką. I to jest właśnie owa cena.

A jaka była cena, którą telewizja musiała zapłacić za program Lubelczyka, tego nie wiem, przypuszczam jednak, że niewspółmiernie wysoka w stosunku do

otrzymanych efektów. Pół godziny czasu wóz transmisyjny oraz dwóch sprawozdawców potrzebnych było do skonstatowania oczywistego dla wszystkich (poza realizatorami) truizmu.

Równie rewelacyjnie zapowiedział się pierwszy odcinek „Kim będę” z Poznania. Dokrętki filmowe przedstawiły telewidzom szereg uśmiechniętych twarzy młodych ludzi, komentator uzurpował — spojrzcie, jak szczęśliwi są ci, co wybrali dla siebie zawód inżyniera. I w taki to bezpośredni sposób załatwiono się ze szkolnictwem zawodowym. Odbiła się jeszcze inscenizacja z panią psycholog, która odczytywała z karteczki mniej zdecydowanym młodemu osobom do czego się nadają. Ponieważ jesteś porządna, lubisz hodować kakтусy — stwierdzała pani psycholog — to idź do zawodowej szkoły rolniczej, która otwiera przed tobą szereg ciekawych możliwości. Po jej skończeniu możesz pracować w administracji albo użyźniać glebę. Dziękuję, odpowiadało dziewczę, czy zadowolone z porady, tego już taktownie nie pokazywano.

I tak to osiągnięcia zdemontowała w ciągu pierwszych jesiennych tygodni publicystyka telewizyjna. Aż mroź po kościach chodzi człowieka, kiedy pomyśli sobie, co jeszcze go czeka w okresie długich zimowych wieczorów.

KOWALSKI

Telewizja włoska nadaje co najmniej raz w tygodniu audycję poświęconą muzyce jazzowej. Ten typ audycji cieszy się tam ogromnym powodzeniem. „Tempo di jazz” ma już olbrzymią rzeszę swoich stałych odbiorców. Ciekawe dlaczego u nas dobry jazz tak rzadko pokazywany jest na małych ekranach.



Telewizja Szwajcarii Romańskiej nadaje cykl widowisk pt. „Dobry wieczór” (w których występuje znany duet taneczny Kay-Browning). Ciekawostką jest tu fakt, że każde przedstawienie rejestrowane jest na taśmie filmowej na kilka tygodni przed nadaniem w programie. Powyższa metoda stosowana jest coraz częściej także w innych krajach, ponieważ pozwala na staranniejse opracowanie strony wizualnej i dźwiękowej widowiska. Wyłania się przy tym tylko jedna poważna trudność — bardzo duży koszt takich audycji. Dla przykładu: utrwalenie na taśmie filmowej 45-minutowego programu „Dobry wieczór” zajmuje cały tydzień, w tym czasie studio oddane jest wyłącznie dla realizatorów tego „variete”. Każdy numer w tej składance posiada własne dekoracje, oświetlenie i oddzielny montaż na taśmie filmowej. Przeciennie nagranie 12-minuto-

wej scenki trwa od 12 do 15 godzin. Tylko ten jeden program potrzebuje w sumie około trzydziestu osób niezbędnych dla nagrania na taśmie. A swoją drogą programy nadawane na żywo chyba są ciekawsze...

We wrześniu minęła 25 rocznica od czasu kiedy sport po raz pierwszy wkroczył na małe ekrany. W 1937 r. telewizja BBC nadawała transmisję z treningu najlepszej wówczas piłkarskiej drużyny Anglii — „Arsenal” (Londyn). W następnym dniu przeprowadzono już pełną transmisję z meczu piłkarskiego. Tak się zaczęło. Odtąd sport zaczyna coraz częściej gościć w telewizji. Dziś transmisje sportowe stanowią poważny procent w programie telewizyjnym wielu krajów, jak np. Włochy, Kanada, Francja i inne. Nasza telewizja nie pozostaje w tyle.



POPULARNY OD „KUCHNI”

Sobota, 20 października. Wchodzę do studia łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Za chwilę rozpocznie się pierwsza próba kamerowa dramatu Hermana Heijermansa „Nadzieja”. Ujrzymy ją w Teatrze Popularnym Telewizji w piątek (26 października). Herman Heijermans (1864—1924) to główny przedstawiciel holenderskiego dramatu realistycznego. Nie dorównuje on takim dramaturgom swojego okresu jak Strindberg czy Ibsen, ale ma doskonałe o-

panowaną technikę dramatyczną. W przeciwieństwie do egocentryków, takich jak Ibsen czy Hauptmann, autora „Nadziei” cechuje głęboki humanitaryzm. Heijermans interesuje przede wszystkim ludzi. W jego sztukach („Ahaswer”, „Getto”, „De Meid”) spotykamy prawdziwy, gorzki naturalizm życia. Jeden z najgłośniejszych dramatów „Nadzieja” („Op Hoop van Zegen”) ukazał się w 1900 roku. Odnajdujemy tu konradowski konflikt — człowiek

i morze. Sztuka wprowadza nas w społeczność rybaków, pokazując jednocześnie nie-ludzkiego właściciela statku, który nie waha się poświęcić życia rybaków dla własnych zysków. Wysoce humanitarne walory tego dramatu zadecydowały o jego wyborze do Teatru Popularnego. Należy jeszcze dodać, że „Nadzieję” przetłumaczył na nasz język Jan Kasprowicz.

Godzina 15.00. W studio jeszcze pusto. Duża sala, której sufit stanowią ponu-

merowane reflektory, wypełniona jest dekoracjami. Z boku stoi monitor, po przeciwnej stronie widzę żuraw z mikrofonem, obok jedna kamera, trochę dalej druga. Reżyser Jerzy Antczak, scenograf Masłowski, operatorzy Król i Łęski, oraz kilku współpracowników są już w studio. Antczak instruuje, gdzie ma stać żuraw — „proszę sobie zaznaczyć kredą”. Teraz ustawianie kamer. „Król stąd, Łęski tutaj” — mówi reżyser i 350-kilogramowe kołosy zrecznie prowadzone przez „szwenkierów” (operatorów) zajmują swoje miejsca. Minęło dziesięć minut, a aktorów jeszcze nie widać. Wreszcie wchodzi Tadeusz Minc z nie zapaloną fajką — „nie masz kostiumu?” — wita go Antczak. W monitorze widzę już wnętrza (dekoracje). Masłow-

ski wspina się po wysokiej drabinie i reguluje reflektory, to samo robi również za pomocą długiej tyczki. W międzyczasie jedna z aktorek (w kostiumie) siada na ławie za barierą (dekoracja) i na nią skierowana jest kamera. Antczak patrzy w monitor. Podchodzi do bariery i mówi, że jest za wysoka. Masłowski oponuje — „albo taka bariera albo żadna”. Dochodzą do wniosku, że najlepiej podwyższyć ławkę za barierą. Reżyser wychodzi na chwilę. W studio coraz więcej aktorów, jest już Małowski, Fogiel, Butrym, Rachwańska. Jedni w kostiumach, inni nie, ale na próbie kamerowej to nie jest najważniejsze. Operator Król pokazuje aktorom jakąś pornograficzną broszurę ze zdjęciami z plaży nudystów. Wchodzi Antczak i zaczyna się pierwsze ujęcie. Za wysokim stolikiem siedzi Małowski, który gra sekretarza właściciela statku. W głębi otwierają się drzwi i wchodzi Minc (ojciec dziewczyny, której naręczony wypłynął w morze), podchodzi do bariery i pyta: „Nie ma jeszcze żadnej wiadomości?” Małowski mu odpowiada i tak rozpoczyna się pierwsza scena. Reżyser siedzi przed monitorem i mówi — „Zygmunta (Małowski) wyprostuje się trochę”. „Czy ja się mogę opierać o barierę?” pyta Minc. Małowski mówi tekst przeglądając papiery leżące na stoliku, między nimi widzę zdjęcia z plaży nudystów. Antczak przesuwa stolik, a Król ustawia inaczey kamerę. Jeszcze raz od początku. Reżyser do Małowskiego: „chciałbym, żebyś miał w ustach fajkę”. „Wole cygaro” — odpowiada sekretarz. „Tak, cygaro będzie lepsze, bo fajkę ma Tadek (Minc)” — mówi Antczak. Znowu od początku. Dojazd kamery ma być na „powiedzialem” (tekst Minc). „Ruszać mikrofonem” krzyczy Masłowski. Widzę jak reżyser biega od monitora do aktorów i poucza ich jak mają podawać tekst, ustawia i mówi jak mają się poruszać. Jeszcze kilka powtórzeń tej sceny i następna. Do pokoju sekretarza wchodzi Seweryn Butrym

(właściciel statku). Dialog z Małowskim. Król proponuje aby dialog był w zbliżeniu na wysokości piersi. Krótka przerwa. Antczak opowiada, jak podczas spektaklu „Upiorów” jeden z aktorów nie mógł dosięgnąć kurka od kranu i woda zaczęła się wylewać, mimo to Nowicki mówił tekst w zbliżeniu, a woda sięgała mu już do kolan. Teraz krótka scena z Majdą i Małowskim. Reżyser uzgadnia z Królem jak ma pracować kamera. Z kolei próba ostatniej sceny. Grają Butrym i Rachwańska. Antczak naradza się z tą ostatnią jak to ma być zagrane. Scena jest powtarzana szesnastokrotnie. Teraz wiem dlaczego wcześniej nie uczucie się roli, bo robicie to na próbach kamerowych — mówi reżyser do aktorów. Zaczyna pracować druga kamera Łęskiego. Dialog między właścicielem okrętu, a matką rybaka. „Panie Sewerynie, pan mnie rozśmiesza — mówi Rachwańska do Butryma, a scena jest bardzo dramatyczna. Do studia wszedł Małowski w kostiumie. Wszyscy się śmieją. „Jak są wasze próby, to premiera jest do niczego” — stopuje Antczak. Jeszcze krótka narada reżysera z operatorem i przerwa w próbie. Za godzinę dalszy ciąg. Jest 17.30.

Tak wyglądał fragment pierwszej próby kamerowej „Nadziei”. Próby z aktorami zaczęły się 10 października. Kamerowe będą trwały do soboty do czwartku, a w piątek premiera. Obserwując pracę reżysera, aktorów, operatorów i całej ekipy technicznej dochodzi się do wniosku, że nie jest ona ani łatwa, ani lekka, chociaż wydaje mi się, że przyjemna. Tworzącym spektakl telewizyjny jest w głównej mierze reżyser, ale wiele do powiedzenia mają tu również operatorzy, jak i scenograf. Stąd wniosek, że telewizja podobnie jak film ma „zbiorowego twórcę”, a to chyba wychodzi jej na dobre. TADEUSZ WIĄCEK



Małowski i Minc w jednej ze scen z „Nadziei” w czasie próby w studio LOT reż. J. Antczak Fot. Z. Krajewski

REGULAMIN

DZIAŁANIA SPOŁECZNYCH KOMISJI
POJEDNAWCZYCH PRZY
KOMITETACH BLOKOWYCH NA
TERENIE
MIASTA ŁODZI

ROZDZIAŁ I Postanowienia ogólne

W celu rozstrzygnięcia, inicjatywy mieszkaniowej, w zakresie umacniania zasad współżycia społecznego i oddziaływania wychowawczego, a w szczególności ochrony ładu i porządku domowego oraz utrwalenia dobrosąsiedzkich stosunków między mieszkańcami.

na podstawie art. 71 ustawy z dnia 25.11.58 roku o Radach Narodowych (Dz. U. Nr 5, poz. 16) i Uchwały Rady Narodowej m. Łodzi Nr 2/58 z dnia 26.11.58 roku (Dz. Urz. RN m. Łodzi Nr 3, poz. 11) w sprawie trybu wyborów oraz organizacji i działalności Komitetów Domowych oraz Komitetów Blokowych, Ulicznych i Osiedlowych —
Prezydium Komitetu Blokowego powołuje Specjalną Komisję Pojednawczą, za zgodą Prezydium właściwej Dzielnicznej Rady Narodowej.

— 5 —

- a) strażnica psem (art. 53 prawa o wykroczeniach),
- b) uszkodzenia ogrodu i drzewa (art. 54 prawa o wykroczeniach),
- c) przedsięwzięcia ogrodowej (art. 55 prawa o wykroczeniach),
- d) samowolnego używania cudzego mienia (art. 57 prawa o wykroczeniach),
- e) umieszczania napisów i rysunków na cudzej rzeczy (art. 60 prawa o wykroczeniach),
- f) uszkodzenia polnego (art. 13, 17 i 18 ustawy z dnia 14.11.1937 r. o szkoleniowiec leśnym i polnym — Dz. U. Nr 30, poz. 224, zmiana Dz. U. Nr 6, poz. 30 z 1956 r.),
- g) nieprzebieganie regulaminu porządku domowego,
- h) oraz sporów o szkody wyrządzone czynem niedozwolonym, o własność ruchomości i o posiadanie.

§ 11.

Właściwą miejscowość jest Komisja, w której obrębie działania nastąpiło zdarzenie przewidziane w § 10 lub też, w której obrębie działania zamieszkuje osoba zainteresowana, albo jedna z nich.

ROZDZIAŁ V Postępowanie

§ 12.

W postępowaniu przed Komisją bierą udział osoby, których rozstrzygnięcie jest bezpośrednio dotyczy.

Czytelnicy znajdą obok publikacji niezwykle pod-
bowiem do rzeczy zwykłych, że tygodnik niespecjalistyczny, a „dla wszystkich” — drukuje in extenso tekst aktu prawnego, ale też tekst ten nie jest zwykłym ciągiem sformułowań, w jakie obfitują różne dzienniki urzędowe. W tym ostatnim stwierdzeniu zawiera się ogólne wskazanie, dla której „Regulamin działania Społecznych Komisji Pojednawczych” w naszym piśmie podajemy. W szczególności chcemy powiedzieć, że obok Terenowych Grup Partyjnych, zainicjowanych przez łódzką organizację PZPR, których doświadczenie przyjęło się po III Zjeździe w życiu partyjnym całego kraju, powołanie i pewne prawne usankcjonowanie SKP stanowi drugą z kolei łódzką inicjatywę społeczną-polityczną o znaczeniu ogólnopolskim. Podkreślamy to nie dla częściej przechwaki, lecz dla zadokumentowania prostego faktu, iż wkład Łodzi do ogólnokrajowych wysiłków i sukcesów jest nie tylko natury ekonomicznej. Obok tych względów widzimy bardziej praktyczne. Jak wynika z informacji zamieszczonej poniżej, „Regulamin” nie jest dostępny dla działaczy społecznych pracujących już w SKP. A chodzi nie tylko o to, aby był on im dostępny, lecz również o to, aby dotarł do rąk i świadomości ogółu.

— 2 —

Spółeczna Komisja Pojednawcza, zwana dalej „Komisją” działa na zasadzie dobrowolnego podania się jej czynnościom przez osoby zainteresowane.

Komisja wykorzystuje wszystkie środki oddziaływania społecznego w celu skłonienia zainteresowanych osób do poddania się jej działaniu oraz do pojednania.

ROZDZIAŁ II Tryb powoływania Komisji

§ 1.

Komisję powołuje Prezydium Komitetu Blokowego w liczbie od 6 do 9 osób.

Członkowie Komisji wybierają spośród siebie przewodniczącego i jego zastępcę lub zastępców.

§ 2.

Komisja rozpoznaje sprawy w składzie 3 osób, przy czym przewodniczącym składu jest przewodniczący Komisji lub jego zastępca.

§ 3.

Członkiem Komisji może być ten, kto ukończył 16 lat życia, nie był karany sądownie, jest nie-szkodliwym charakteru i jest od roku mieszkającym na terenie podległego działaniu danego Komitetu Blokowego.

Nie może być członkiem Komisji:
a) posiadający w czynnej służbie: sędzią, prokuratorem, funkcjonariuszem Milicji Obywatelskiej i funkcjonariuszem Służby Więziennej;
b) adwokat.

— 6 —

§ 13.

W przypadku gdy czynem określonym w § 10, pokrzywdzonych jest kilku lub więcej mieszkańców, interesy ich może reprezentować Komitet Domowy.

§ 14.

Postępowanie, w którym jedną ze stron jest niepełnoletni, może się toczyć jedynie w obecności jego rodziców lub opiekunów.

§ 15.

Komisja może rozprawywać na okoliczności zdarzenia osoby, które były jego świadkami.

§ 16.

Drukowane i nielubowe, jednej ze stron na posiedzeniu Komisji stanowią dokumentację, iż strona nie wyraża zgody na prowadzenie postępowania przez Komisję, lub też wyrażoną uprzednio zgodę wycofuje — chyba, iż strona przedstawienie usprawiedliwiła.

§ 17.

Postępowanie przed Komisją jest jawne i usłowne, i winno być zakończone w terminie miesięcznym od daty wniesienia sprawy. Jawność postępowania może być uchylona na zgodny wniosek stron.

— 3 —

Kadencja Komisji trwa przez okres działalności Komitetu Blokowego, który ją powołał.

§ 5.

W uzasadnionych przypadkach, Prezydium Komitetu Blokowego może odwołać członka Komisji przed upływem kadencji.

§ 6.

Członkowie Komisji pełnią swe funkcje honorowo.

ROZDZIAŁ III Wyłączenie członków Komisji

§ 7.

Członek Komisji nie może rozpatrywać sprawy, jeżeli:

1. sprawa dotyczy go bezpośrednio
2. jest małżonkiem zainteresowanej strony,
3. jest spokrewnionym lub powinowatym z jedną ze stron,
4. pozostaje z jedną ze stron w stosunku służbowym,
5. pomiędzy nim a jedną ze stron zachodzi stosunek osobisty tego rodzaju, iż może wywołać wątpliwości co do jego bezstronności.

§ 8.

W przedmiotowe wyłączenia członka Komisji rozstrzyga ostatecznie Przewodniczący Komitetu Blokowego.

— 7 —

§ 18.

Z przebiegu postępowania przed Komisją sporządza się notatkę, w której uwzględnia się oświadczenia stron, poczynione przez Komisję ustalenia i wynik pojednania.

§ 19.

Notatkę podpisują członkowie Komisji i strony.

§ 20.

W przypadkach określonych w § 10, wymagających — według oceny Komisji — ze względu na wagę społeczną zdarzenia, ingerencji organów państwowych, Komisja odmówi prowadzenia czynności pojednawczych i w miarę możliwości wskazuje zainteresowanym organ właściwy do załatwienia sprawy.

§ 21.

Komisja nie podejmuje czynności pojednawczych, a jedynie pozostawia bez dalszego biegu w razie stwierdzenia, że postępowanie co do tego samego zdarzenia toczy się przed właściwym organem państwowym (np. przed Sądem lub Kolegium Karno-Administracyjnym).

§ 22.

Postępowanie przed Komisją kończy się stwierdzeniem, że strony pojednały się lub, że pojednanie nie nastąpiło.

— 4 —

ROZDZIAŁ IV Własność rzeczowa i mieszkowa

§ 9.

Komisja podejmuje czynności na wniosek zainteresowanych osób, Komitetu Domowego i innych instytucji reprezentujących interes społeczny.

§ 10.

- a) naruszenia nieruchomości cielnosy (art. 239, § 1 k. k.),
- b) naruszenia domu (art. 252, § 1 k. k.),
- c) obrazu (art. 256, § 1 k. k.),
- d) zniesienia mienia (art. 255, § 1 k. k.),
- e) uszkodzenia mienia (art. 263, § 1 k. k.),
- f) zakłócenia spokoju publicznego (art. 28, prawa o wykroczeniach),
- g) zakłócenia spokoju nocnego (art. 30 prawa o wykroczeniach),
- h) używania publicznie słów nieprzyzwoitych (art. 31 prawa o wykroczeniach),
- i) naruszenia ośrodków przy wystawianiu przedmiotów, wywołaniu plynów i nieczystości (art. 38 prawa o wykroczeniach),
- j) uszkodzenia oświetlenia, klamek, schodowych i bram (art. 45 prawa o wykroczeniach),
- k) drżnięcia zwierząt (art. 47 prawa o wykroczeniach),
- l) nieczystości, ostrych przy trzymaniu zwierząt (art. 48 prawa o wykroczeniach),
- m) zanurzanie wody (art. 49 prawa o wykroczeniach),
- n) złośliwego dokuczania (art. 52 prawa o wykroczeniach).

— 8 —

§ 23.

Pojednanie może nastąpić w formie pogodzenia się stron bez wzajemnych zobowiązań lub też zawarcia ugody.

§ 24.

W przypadkach gdy jedną ze stron jest Komitet Domowy pojednanie może być zastąpione zadaniem drugiej strony. Zadanie to może polegać na świadczeniu pieniężnym na rzecz organizacji społecznych lub inne cele dobroczynne.

§ 25.

Ugoda jest zgodnym oświadczeniem woli zainteresowanych stron zawierającym jednoznaczne i wiążące zobowiązanie do naprawienia wyrządzonej szkody w oznaczonym czasie albo do określonego zachowania się.

ROZDZIAŁ VI Postanowienia końcowe

§ 26.

Nadzór nad działalnością Komisji sprawuje poza właściwym Komitetem Blokowym również Prezydium właściwej Dzielnicznej Rady Narodowej.

§ 27.

Komisja utrzymuje kontakt z Terenowym Komitetem Frontu Jedności Narodu, Terenową Grupą Partyjną i innymi organizacjami społecznymi.

Według stanu na 10 października 1958 roku, w Łodzi 128 SKP. W dzielnicy Górnej jest ich 45, w Śródmieściu 25, na Bałutach i Poleścu po 21, na Widzewie 16.

Ogółem w społecznych komisjach pojednawczych pracuje, jak dotąd, 865 osób, 434 robotników i 411 pracowników umysłowych. Najwięcej wśród nich znajduje się ludzi „wiekowych”, 436 osób jest po pięćdziesiątce, 348 osób liczy od 31 do 50 lat, trzydziestoletnie są w mniejszości — 81. Podobnie kobiety, które stanowią 30 procent ogółu składu osobowego SKP. 396 członków SKP ma wykształcenie podstawowe, 337 — średnie, a 112 wyższe. 375 należy do PZPR, 8 do ZSL i 3 do SD. Większość członków komisji stanowią zatem bezpartyjni.

Miło nam donieść, że zabieg społecznych komisji pojednawczych kończą się sukcesami, co potwierdza sens ich istnienia i rokuje obiecujące perspektywy. Z ogółu 92 spraw rozpoznanych na 142 posiedzeniach, 76 zakończyło się pojednaniem zadowolonych stron.

Pełne ręce roboty miały komisje na Górnej, które w 60 sprawach zbierały się 86 razy, z czego ostatecznie z pozytywnym skutkiem 48 razy. 12 konfliktów było ponad mediatorskie siły upartych mimo trudności komisji. Najgładziej szło komisjom bałuckim, które we wszystkich 9 przypadkach doprowadziły do pojednania i śródmielskim, które pogodziły skłóconych w 13 sprawach na 15. Jak dotąd „bezrobotne” były komisje na Poleścu, które rozpoznawały zaledwie 2 sprawy, co świadczy nie tyle o spokoju w tej dzielnicy, ile chyba o niedostatecznym spopulary-

zowaniu kompletów mediatorów — społeczników. Najwięcej spraw, bo 53 dotyczyło zakłócenia spokoju publicznego, 14 zakłócenia spokoju nocnego, 11 — nieobyczajnych wybryków lub używania słów nieprzyzwoitych. W jednej sprawie chodziło o wylewanie nieczystości, w dwu — o uszkodzenie polne, w 6 o porwanie, w 5 o obrazę. Trudnością, z jaką borykają się członkowie SKP jest brak drukowanego tekstu obowiązującego ich regulaminu. Tym właśnie należy tłumaczyć pewne nieprawidłowości, jakie wystąpiły w

działaniu SKP tu i ówdzie. Regulamin oparty o zasadę pełnej dobrowolności w poddawaniu się perswazji komisji nie przewidywał żadnych wezwań pisemnych ani wniosków na piśmie, a mimo to zdarzały się ciągoty do tej papierkowej techniki. Drugą trudność stanowi brak lokali. Większość komisji korzysta z izb szkolnych i jest to najsluszniejszy sposób załatwiania tej trudności. Tendencja do wydzierżawiania specjalnych lokali, i dyżurowania w nich jest niesłuszną, bo grozi zurzędniczeniem SKP.

Zanotowano również jednoosobowe rozpatrywanie spraw, co kłóci się z istotą i samą nazwą SKP.

Blaski (przeważnie) i cienie (małutkie) działania społecznych komisji pojednawczych tuż po starcie — rozważała ostatnio Komisja Wymiaru Sprawiedliwości i Porządku Publicznego przy KL PZPR. Stwierdzono, m. in. nienależyte, niestety, zaangażowanie w tej wielkiej sprawie Miejskiego i Dzielnicznych Komitetów Frontu Jedności Narodu. Odbywa się np. szkolenie, mające na celu podnoszenie wiedzy

i kultury prawnej społeczników-mediatorów. Spotkania z fachowcami od prawa cieszą się wielką frekwencją członków SKP. Na spotkaniach tych nie usłucha się przedstawicieli komitetów FJN, co formułujemy nie jako zarzut, ale jako wyraz niepokojów.

SKP są wielką szansą po-

lepszenia ładu w stosunkach międzyludzkich, zacieśnienia więzi sąsiedzkiej i społeczno-terytorialnej, mogą być jeszcze jedna szkoła wychowania socjalistycznego, i dlatego współtworzenie jak najcieplejszego klimatu wokół nich jest sprawą wszystkich organizacji społeczno-politycznych.

Redaguje Zespół • Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” • Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 95, Tel. 244-78 • W punkcie prenumeraty: miesięcznie 2 zł., kwartalnie 6 zł. • Redakcja nie zamawia reklam, nie zwraca • Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz P.D.K. „Ruch” • Z rachunkiem na „Ogłoszenia” • Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 • Zam. 3659, X. 62. A-4